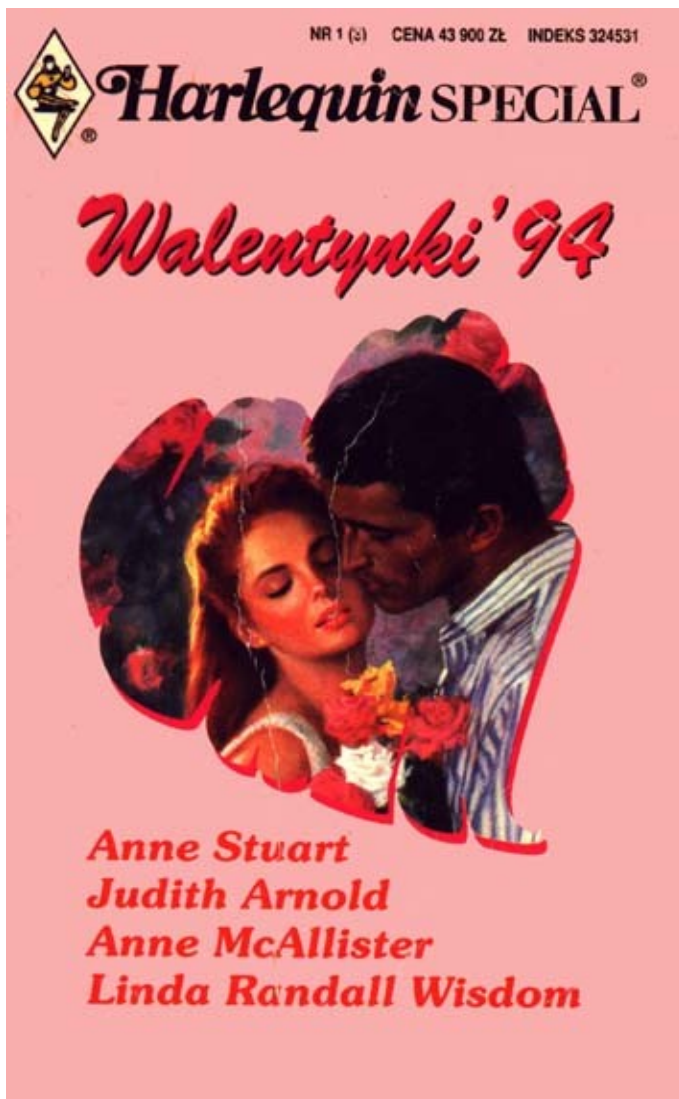


# *Harlequin*

Toronto • Nowy Jork • Londyn  
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg  
Madryt • Mediolan • Paryż • Sydney  
Sztokholm • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:  
**My Valentine 1993**  
Pierwsze wydanie:  
**Harlequin Books, 1993**



Tłumaczyła  
**Alicja Dobrzańska**

---

**Święci istnieją naprawdę  
Anne Stuart**

## ROZDZIAŁ 1

– Mówię ci, mam już tego powyżej uszu – utyskiwał starszy mężczyzna. – Święty Mikołaj skupia całą uwagę, zbiera wszystkie zaszczyty. Świętego Patryka szanują, a co on takiego zrobił poza zlikwidowaniem paru węży? To samo można osiągnąć przy zastosowaniu dobrego środka tępiącego szkodniki. Te święta mają przynajmniej jakiś związek z ich życiem. A co, na Boga, ma wspólnego Dzień Zakochanych z rzymskim księdzem, żyjącym w trzecim wieku naszej ery?

Eros spojrział na swojego towarzysza. Święty Walenty był ascetycznym, pełnym pretensji i drażliwym starym duchownym, ale przez te wszystkie wieki jakoś go polubił.

– No cóż, tobie ścięto głowę – zaznaczył. – Może to aluzja do tego, że ludzie tracą głowy, kiedy się zakochują.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– Ciebie w ogóle rzadko coś śmieszy – odparł Eros z westchnieniem i przeciągnął się leniwie, otulając skrzydłami swoje wspaniałe, białozłote ciało. – Musimy się pogodzić z tym, że dla większości ludzi Boże Narodzenie jest ważniejsze niż Dzień Zakochanych. Dostają wtedy prezenty i wszyscy są dla siebie wyjątkowo mili. Nic dziwnego, że Święty Mikołaj jest tak popularny. A święty Walenty przynosi im mnóstwo kłopotów.

– To ty im przynosisz kłopoty – odgryzł się Walenty. – Gdyby to zależało tylko ode mnie, to połączone przez nas pary żyłyby w doskonałej harmonii.

– Doskonałej, platonicznej harmonii – uzupełnił Eros. – Ja nawet częściowo zgadzam się z tobą. Seks często stwarza poważne problemy. Ale pomyśl, jakie byłoby życie bez niego.

– Na pewno o wiele spokojniejsze – rzekł Walenty parszkając z dezaprobatą. Eros znów westchnął. Ta dyskusja toczyła się już bardzo długo, szesnaście stuleci, jeżeli chodzi o ścisłość i żaden z nich nie chciał ustąpić ani na krok.

---

– Działamy wspólnie nie bez powodu, mój drogi. Gdyby miłość była tym, co ty o niej sądzisz, gatunek ludzki wymarłby w trzecim wieku razem z tobą i twoimi kolegami męczennikami.

– A gdyby to zależało od ciebie, życie byłoby pasmem bachanalii, a wszędzie panoszyłyby się wyuzdanie i rozwiązłość.

– I byłoby wspaniale – powiedział Eros z tęsknotą w głosie. – Brakuje mi tamtych czasów.

– A mnie brakuje mojego dawnego życia, pełnego spokojnej kontemplacji – mruknął Walenty.

– Nie zapominaj, ile za to zrobiliśmy dobrego – szybko dodał Eros widząc, że ta rozmowa rozstroiła jego towarzysza. – Pomyśl o tych szczęśliwych parach, które połączyliśmy.

– A ty pomyśl o tych nienawidzących się parach, które się rozstały.

– Pomyśl o tych wszystkich weselach.

– Pomyśl o rozwodach.

– Pomyśl o kochaniu się.

– Pomyśl o zwierzęcej żądzy.

– Myślę, mój drogi, myślę – rzekł Eros z tęsknym uśmiechem. – Musisz przyznać, że gdyby nie ja, nie byłoby ani romansów, ani małżeństw, ani...

– Ani parzenia się – dokończył Walenty. – Gdyby nie ja, nie byłoby romantyzmu, braterstwa dusz, czułości.

– Nie mam zamiaru podważać twojego znaczenia – powiedział Eros. – Ale jeżeli chce się połączyć dwoje ludzi, potrzeba po prostu starego, tradycyjnego seksu.

– Najpierw muszą się połączyć ich dusze.

– Dusze, śmusze – odparł pogardliwie Eros. – Udowodnię ci, że mam rację.

– Jak masz zamiar to zrobić? – zapytał Walenty z zainteresowaniem. Czuł, że Eros nie żartuje. Święty Walenty mógł być cnotliwym starcem, ale miał też wyraźną słabość do gier hazardowych.

– Załóżmy się. Znajdziemy dwie, jak najmniej pasujące do siebie osoby, spróbujemy je połączyć i zobaczymy, co podziela. Twoje romantyczne serca i kwiaty czy mój prosty, tradycyjny seks – powiedział Eros, niedbale rozpościerając skrzydła.

– To brzmi absurdalnie.

– Boisz się przegrać, staruszku?

– Kiedy będę bał się przegrać z takim podstarzałym pedałem jak ty, to będzie znaczyło, że jest koniec świata – zawrzał gniewem Walenty.

– Pedałem? – zdziwił się Eros, bardziej rozbawiony niż obrażony. – Trzeba ci wiedzieć, że od kiedy tylko pozwolono mi na wałęsanie się po ziemi, zawsze byłem zdeklarowanym heteroseksualistą.

– Mówię o twoim wyglądzie, nie o inklinacjach. Masz z metr osiemdziesiąt wzrostu i skrzydła prawie tak samo długie, zaś twoje złote loki są komiczne i powinieneś wkładać na siebie coś więcej oprócz tej pieluchy.

– Moje ciało jest bez zarzutu – odpowiedział Eros. – Dlaczego nie mam być z niego dumny? I nie zmieniam tematu. Zakładamy się czy nie?

– Na jakich warunkach?

– Kobiętę już znamy – rozmawialiśmy o niej kiedyś. Shannon Donnelly dawno powinna trafić na swoje przeznaczenie. Znajdziemy mężczyznę i ustalimy datę. Rozśmieszę cię – oni będą już spali ze sobą przed najbliższym Dniem Zakochanych.

– Spali? Ty potrafiłbyś każdego wsadzić do łóżka. Mnie chodzi o prawdziwe zaangażowanie – powiedział Walenty.

– Oczywiście – miłość na wieki wieków i te wszystkie bzdury. Wchodzisz?

– A jaka jest pula?

– Jeżeli wygram, dajesz mi wolną rękę. Jeżeli przegram, to tych dwoje biedaków rozpocznie następną rundę celibatu.

– Wspaniale, zgadzam się. Liczę na Shannon. To słodka dziewczyna, niemal dziewica, o ile można mówić o czymś takim w dzisiejszych czasach.

– Biedactwo – mruknął Eros.

– Musimy tylko znaleźć odpowiedniego mężczyznę.

– Nieodpowiedniego mężczyznę – przerwał Eros. – To ma być przecież sprawdzian naszych możliwości. Mamy więc Shannon Donnelly, lat dwadzieścia dziewięć, ciepłą, lojalną, niewinną, optymistyczną. Z niefortunną skłonnością do nieudaczników.

– Kulturalni mężczyźni nie są nieudacznikami.

– Ci, których ona wyszukuje, są. To dlatego, że jest tak cholernie macierzyńska. Jest tak zajęta matkowaniem swoim siostrą i bracią, że pociągają ją jedynie mężczyźni, którym także może matkować. Potrzebujemy kogoś, kto tego nie chce.

– Potrzebujemy kogoś, kogo może szanować.

– Potrzebujemy kogoś, kim ona pogardza – odparł Eros. – A ja znam takiego mężczyznę. – Zachichotał pod nosem. – Nie mogę się doczekać chwili, kiedy posypią się iskry.

Gdyby Shannon Donnelly chciała sporządzić listę miejsc najmniej przez siebie lubianych, na samym czeluście znalazłoby się właśnie to, do którego w tej chwili zmierzała. Po pierwsze, nigdy nie przepadała za Manhattanem. Wszyscy tu zdawali się być źli i zwariowani, taksówki usiłowały każdego rozjechać, a słońce nigdy nie docierało do dna kanionów ulic. Po drugie, chociaż uważała się za osobę przyjazną i tolerancyjną, jej zdaniem prawnicy byli gatunkiem najmniej potrzebnym w naturze, a człowiek, do którego biura właśnie się udawała, miał naprawdę niewiele na usprawiedliwienie swojej egzystencji. Oczywiście, mogła się nie zgodzić. Ale wtedy musiałaby wytłumaczyć swojej siostrze Moirze, dlaczego nie chce wstąpić do adwokata, który prowadził sprawę rozwodową jej byłego szwagra, a tego nie była w stanie zrobić. To, że Moira nie może iść osobiście, było zrozumiałe, gdyż na rozprawie rozwodowej doprowadzono ją do łez. Tak czy owak, lepiej było,

---

że przekazanie owej rzeczy, będącej przedmiotem sporu, zostanie dokonane między osobami trzecimi, a adwokat Harolda Rasmussena i siostra Moiry Donnelly Rasmussen bez wątpienia najlepiej się do tego nadawali. Shannon Donnelly nienawidziła owego adwokata z powodów, które uważała za bardzo istotne, nawet jeżeli zdawały się być nieco irracjonalne. Patrick Lockwood był dokładnie takim mężczyzną, jakich serdecznie nie znosiła – zimny,

wyrachowany, elegancki i na dodatek nachalnie przystojny.

Gdyby tylko wiedziała kim on jest – wtedy, pierwszego dnia w sądzie. Przyszła trzymając rękę Moiry, wspierając ją moralnie przy tym rozwodzie, pierwszym w długiej historii rodziny Donnellych. I gdyby została z nią, dowiedziałaby się, kim jest ten wysoki, ciemnowłosy mężczyzna w nieskazitelnym włoskim garniturze. Ale niestety wyszła na dwór, na chłodne jesienne powietrze, żeby zapalić papierosa, chociaż już niemal udało jej się rzucić palenie. On stał oparty o ścianę budynku sądu, usiłując osłonić się przed wiatrem postawionym kołnierzem marynarki i trzymał papierosa w zwiniętej dłoni. Rzucił jej spojrzenie, jakie wymieniają między sobą palacze, pełne koleżeńskiej współwiny, ona zaś uśmiechnęła się, wzruszając ramionami. Był niebywale atrakcyjny – wysoki, szczupły, miał dość długie, lekko posrebrzone siwizną ciemne włosy i inteligentną twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, satanicznymi brwiami i szerokimi, pociągającymi ustami.

– Nie mogę odzwyczaić się od tego świństwa – powiedział.

– A mnie się prawie udało – odparła zafascynowana brzmieniem jego głosu – chłodnym, a zarazem uwodzicielskim. Był starszy o jakieś dziesięć czy piętnaście lat, a ona do tej pory spotykała się tylko z młodszymi mężczyznami.

– „Prawie” to za mało.

– Na szczęście nie jestem perfekcjonistką.

– Niestety, ja tak – powiedział i popatrzył na swój papieros z obrzydzeniem. Musiał wyczuć, że ona wciąż go obserwuje, bo podniósł nagle wzrok i uśmiechnął się. Odpowiedziała uśmiechem, który jednak zniknął nagle, tak samo zresztą, jak u niego. Miała świadomość czegoś dziwnego, szokująco fizycznego i poczuła pragnienie dotknięcia go, przejechania palcami po jego ciemnej, szczupłej twarzy. Miał oczy zielone, o odcieniu morza w zimie. Patrzył na nią w napięciu, a następnie podniósł rękę, chwycił kosmyk jej rozwianych przez wiatr, kasztanowych włosów i owinął go wokół swoich długich, szczupłych palców. Podobno włosy nie są unerwione, ale czuła to dotknięcie każdym włókienkiem swego ciała. Stała zeszytniała, z zapomnianym papierosem w ręce i patrzyła na niego w bezmyślnym transie, aż w drzwiach pojawił się urzędnik sądowy i przerwał tę magiczną chwilę. Mężczyzna cofnął się o krok, zgniół swój papieros obcasem buta i uśmiechnął się do niej, jakby łączył ich nie tylko ten nałóg, ale i coś poważniejszego.



– Do zobaczenia w czasie następnej przerwy – powiedział tym swoim głębokim, uwodzicielskim głosem. Chwilę trwało, zanim zdołała się opanować. Takie rzeczy nie zdarzają się naprawdę, to jakiś dziwny przypadek, jakaś anomalia, rezultat zbyt dużego napięcia, przejęcia się tym niespodziewanym rozwodem.

Wślizgnęła się do sali sądowej, zajęła miejsce obok siostry i uściśniła jej rękę.

– Co cię zatrzymało? – wyszeptła Moira.

– Zakochałam się – odpowiedziała nonszalancko.

– Odradzam. Zazwyczaj to się źle kończy – powiedziała gorzko Moira, patrząc w stronę swojego, już wkrótce byłego, męża.

Shannon podążyła za jej wzrokiem i zrobiło jej się zimno.

– Kto siedzi obok niego? – spytała drżącym głosem.

– Ten wysoki, przystojny? To oczywiście jego adwokat. Mój pełnomocnik ostrzegł mnie, że on jest bezwzględny.

Musiał poczuć jej wzrok, gdyż spojrzał na nią przez całą salę i mrużąc oczy słuchał czegoś, co Harold szeptał mu wprost do ucha. Wzruszył ramionami, posłał jej ten swój przesywający serce uśmiech i odwrócił się z powrotem do Harolda. A Shannon zdecydowała, że na zawsze rzuca palenie.

Miesiąc później, jadąc szybką, zbyt szybką windą na czterdzieste siódme piętro, do biura Patricia Lockwooda myślała o tym, że czymś nienormalnym jest ten jej nagły pociąg do drania, który doprowadził Moirę do płaczu. Do człowieka, który przekonał sędziego, że Harold Rasmussen jest prawowitym właścicielem układanki Walentego. Ta chińska układanka od niepamiętnych czasów stanowiła spadek w rodzinie Donnellych i jedynie członkowie tej rodziny wiedzieli, na czym polega jej sekret. Wyrzeźbiona z drewna tekowego, składała się z dwunastu kawałków, które pasowały do siebie z szatańską dokładnością. Kiedyś Shannon rozłożyła ją i dostała upiornego bólu głowy próbując złożyć ją z powrotem, zanim poddała się i zaniósła ją Moirze, przyznając się do porażki. A Moira zgłupiała na tyle, by ofiarować ją Haroldowi w dzień ich ślubu. Co prawda, jeżeli kiedykolwiek ktoś do kogoś pasował, to właśnie ci dwoje do siebie. Ich separacja, a potem rozwód, spadły jak grom z jasnego nieba, oboje byli nieszczęśliwi, ale żadne nie chciało wysłuchać argumentów drugiej strony. Na dodatek Harold upierał się przy tej układance, co już nie miało żadnego sensu. Bez mrugnienia okiem zostawił Moirze dom, który razem kupili, samochód BMW i nawet zawartość wspólnego konta. Chciał jedynie układanki i wynikiem tego żądania była powyższa umowa. Moira przypuszczała, że Harold robi tak, żeby zadać jej ból, zdaniem Shannon zaś oznaczało to, że on wciąż żywi jakąś nadzieję.

Właśnie dlatego jechała teraz windą wieżowca na Manhattanie, żeby dostarczyć rodzinną pamiątkę w ręce wroga. Sytuacja utknęła w martwym punkcie, od orzeczenia rozwodu minęło pięć miesięcy i tylko układanka dawała nikłą szansę, by cofnąć to, co zaszło już za daleko. Mimo wszystko

---

Shannon nie czuła się najlepiej jako owieczka ofiarna i robiła to jedynie dla siostry, która od momentu rozvodu nie przestawała płakać. Poza tym taki nieczuły pyszałek, który wytarł podłogę najdelikatniejszymi uczuciami Moiry, nie będzie sobie zwracał głowy czymś tak mało ważnym. Na pewno jest w tej chwili gdzieś na sali sądowej i niszczy życie następnej biednej kobiety. Boże, jak jej się chce zapalić!

Biuro spółki adwokackiej Lockwood i Gebbie wyglądało dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Całe w chromach, stali i szkle, bezduszne, nieczułe i zimne. Tak zimne jak serce Patricka Lockwooda, tak wyjałowione jak jego poczucie człowieczeństwa. Harmonizująca z otoczeniem recepcjonistka z ufarbowanymi na siny kolor włosami przyjrzała jej się chłodno.

– Przesyłka dla pana Lockwooda.

– Proszę zaczekać, zobaczę czy jest zajęty – powiedziała kobieta z wzrokiem wciąż utkwionym w Shannon, która poczuła, że blednie.

– Nie muszę wcale się z nim widzieć – odparła pośpiesznie. – Proszę tylko pokwitować odbiór i już znikam.

– Czy to własność pana Rasmussena? – spytała kobieta. – Pan Lockwood życzył sobie, by go zawiadomić.

– To własność Donnellych – rzekła Shannon, a złość narastała w niej z niebezpieczną szybkością. – Coś, co pani pracodawcy udało się zrabować naszej rodzinie...

– On zaraz panią przyjmie – przerwała recepcjonistka.

– Skąd pani wie? – spytała Shannon naiwnie, przerywając w pół słowa swoją tyradę.

– Powiedział, że jeżeli ten przedmiot dostarczy rudowłosa i rozwścieczona panna Donnelly, to mam natychmiast zaprowadzić ją do jego gabinetu. Czeka na panią.

– A jeżeli ja nie chcę go widzieć?

– Dlaczego? – spytała sekretarka nie kryjąc zdziwienia.

Shannon stała nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Wciąż trzymała kurczowo układankę owiniętą w czerwoną, aksamitną torebkę, zużytą i wyświeconą przez lata używania. Może jest jakaś szansa, że Harold się rozmyślił. Moira z chęcią oddałaby cokolwiek innego w zamian.

– Gdzie jest jego gabinet? – spytała z rezygnacją. Patrick Lockwood miał czterdzieści jeden lat, wystarczająco dużo, by wiedzieć, czego chce. Był dumny ze swojego realistycznego spojrzenia na życie, na ludzi i kłopoty, w które się pakują, a specjalizowanie się w sprawach rozwodowych znakomicie pasowało do jego cynicznej natury. Ta praca bardzo mu odpowiadała. Zarobił nieprzyzwoicie dużo pieniędzy w relatywnie krótkim czasie, a cena, jaką za to płacił, wcale nie była za wysoka. Poza tym nigdy nie miał złudzeń. Jego zadaniem było pomóc parom małżeńskim, by mogły rozwiązać swe niefortunne związki i był w tym cholernie dobry. Ale teraz zaczęło go to nudzić.

Nie pamiętał, kiedy pierwszy raz poczuł potrzebę odejścia. Na pewno

długo przed tym dziwnym spotkaniem z siostrą Moiry Rasmussen. Ona nie miała z tym nic wspólnego, po prostu coś w niej niepokoiło go, pogłębiało rosnące w nim uczucie niezadowolenia, które, niestety, skrupiło się na żonie Harolda Rasmussena. Praca zazwyczaj nie wywoływała w nim poczucia winy, chociaż pełne łez oczy Moiry Rasmussen mogły o coś takiego przyprowadzić nawet świętego. Jemu daleko było do świętości i nie poczucie winy go zżerało, ani nie Moira była tego powodem. To jej siostra, Shannon. Nie był do końca pewien, czy to właśnie ona przyniesie to głupie pudło, przy którym tak obstawał Rasmussen, ale wydawało mu się to prawdopodobne. Shannon była przy siostrze podczas rozprawy, poklepywała ją po ręce, była macierzyńska, pełna poświęcenia i lojalności. Według Rasmussena zrobiłaby wszystko dla drugiej osoby i całą swoją energię zużywała na zajmowanie się innymi. Harold nawet nie zdawał sobie sprawy, że Patrick wyciąga od niego informacje, by dowiedzieć się wszystkiego o Shannon. Rasmussen zawsze lubił swoją szwagierkę, zaś ona najwyraźniej również go ceniła. W sumie – wielka, szczęśliwa rodzina. Nigdy nie był całkowicie pewien, dlaczego Harold i Moira rozeszli się i nie trudził się szukaniem odpowiedzi na to pytanie. Jeśli chodziło o niego, to uważał, że małżeństwa zawsze kończą się albo rozwodem, albo sytuacją bez wyjścia i nie jego sprawą było, co to powodowało. Nie mógł całkiem uwolnić się od podejrzeń, że Harold wciąż kocha swoją żonę i rzecz dziwna, ona również zdawała się być w nim zakochana.

Hester otworzyła drzwi, spojrzała na niego znacząco i wprowadziła Shannon Donnelly. Wstał dziwiąc się, dlaczego jest zdenerwowany, dlaczego chciał widzieć się z tą kobietą, która pogardza nim z młodzieńczą zapalczywością i dlaczego wpakował się w tę całą sytuację. Wkroczyła do pokoju – szczupła, długie nogi i młodzieńczy wdzięk. Wiedział, że ma dwadzieścia dziewięć lat, ale wyglądała na mniej. Miała długie, kasztanowe włosy, wzrok zimny i gniewny. Jej usta były delikatne, pociągały go od pierwszej chwili i zastanawiał się, jaki mają smak. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów dręczyły go erotyczne fantazje.

Jeżeli miał wcześniej jakieś wątpliwości co do jej uczuć, wściekłość w jej wzroku rozproszyła je. Prowadził sprawy rozwodowe od ponad dziesięciu lat i wiele razy narażał się na kobiecą nienawiść. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego właśnie jej niechęć tak mu przeszkadza.

– Witam panią – powiedział podchodząc do niej. Cofnęła się w stronę drzwi, które Hester dyskretnie przymknęła. Zorientował się, że ona nie tylko jest zła, nie tylko czuje się nieprzyjemnie w jego obecności, ale również się go boi. Stała trzymając kureczowo w objęciach ten cholerny talizman, a on zastanawiał się, czy kiedy będzie brał go od niej, uda mu się dotknąć jej biustu. Boże, przecież to są marzenia nastolatka. Dobrze, że postanowił wyjechać z Nowego Jorku. Gdyby miał dziesięć lat więcej, pomyślałby, że w jego przypadku kryzys średniego wieku przybrał zastrasżające rozmiary.

– Harold nie rozmyślił się? – spytała nagle.

---

Nie słyszał jej głosu od czasu tych kilku minut przy budynku sądu, widział jedynie pełne nienawiści spojrzenia, ale pamiętał jego brzmienie, łatwe do rozpoznania, czarujące, gardłowe, zmysłowe. Zapragnął przycisnąć usta do jej szyi, poczuć, jak ten głos wibruje. Opanował się z wysiłkiem.

– Co do chińskiej układanki? Żąda tylko tej jednej rzeczy. Mówiłem mu, że mógłby domagać się o wiele więcej...

– Nie mam wątpliwości, że pan tak zrobił – przerwała.

– Proszę posłuchać, pani siostra złupiła go bezlitośnie – powiedział. – Powinien dostać połowę wszystkiego – to była wspólna własność małżeńska, a ja znam się na tym dość dobrze. Ma szczęście, że to się tak skończyło.

– Ona zamieniłaby wszystko na układankę – odparła Shannon, już bez zdenerwowania.

– Trudno sobie wyobrazić, dlaczego. To przecież nie ma żadnej konkretnej wartości, tylko czysto sentymentalne...

– Właśnie dlatego Harold tak jej pragnie. Chociaż nigdy nie myślałam, że stać go na takie tanie chwytły. To musiał być pański pomysł.

– Mój? Niech pani nie będzie śmieszna. Ja gwizdzę na to, co chcą dostać moi klienci, pod warunkiem, że otrzymuję swoje wynagrodzenie.

– Bez wątpienia pokażne.

– Bardzo pokażne – zgodził się. – Wie pani, tak naprawdę nie jestem taki zły, ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Czy tak nie mówili naziści w Niemczech?

– Pani charakter pasuje do pani włosów – powiedział śmiejąc się.

– Może się pan nie wysilać – odpaliła. – Mam powyżej uszu głupich komunałów w rodzaju „rudzi są fałszywi”.

– Bardzo przepraszam. Pani ma rude włosy i wybuchowy temperament.

– Mam kasztanowe włosy i słuszne prawo, by być oburzoną. Pan złamał serce mojej siostrze.

– Jeżeli ktoś złamał serce pani siostrze, co do czego mam wątpliwości, to tylko Harold Rasmussen – odparł spokojnie.

– Pan nie wierzy, że ona ma złamane serce?

– Nie wierzę w to, że serca się łamią. Ale nie musimy się przecież o to kłócić. W końcu problemy Harolda i Moiry Rasmussenów zostały rozwiązane.

– Akurat dużo pan wie – mruknęła Shannon.

– Niech pani zje ze mną obiad.

– Co takiego? – Gapiła się na niego z niedowierzaniem.

– Zaprosiłem panią na obiad – powtórzył spokojnie.

– Dlaczego?

– Diabli wiedzą. Może lepiej mi się je, kiedy ktoś usiłuje zabić mnie wzrokiem.

Wziął aksamitną torbę, bardzo starając się nie dotknąć jej piersi. Zastanawiał się, dlaczego nie zauważyła jeszcze, jakie napięcie panuje między nimi. A może była zbyt zajęta zwalczaniem tego uczucia.

– Jedzenie z wrogiem niszczy mój apetyt – powiedziała stanowczo.

– A spanie z wrogiem?

Wcale nie miał zamiaru tego powiedzieć, te słowa zaskoczyły go niemal tak samo jak ją, ale patrząc na jej reakcję pomyślał, że to się jednak opłacało. Stała z otwartymi ustami i szeroko otwartymi oczami.

– Ale ma pan tupet. Przecież nawet mnie pan nie zna.

– Nie miałem zamiaru tak się śpieszyć, ale nie zanosilo się, że da mi pani szansę załatwienia tego w sposób bardziej subtelny.

– Ja pana nie lubię. Jest pan zimny, wyrachowany i nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego pan mnie lubi.

– Wcale pani nie lubię – odpowiedział szczerze. – Co tu ma do rzeczy lubienie? Po prostu pani mnie bardzo pociąga i chociaż nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje, chciałbym pójść z panią do łóżka. Ponieważ pani najwyraźniej chciała już uciekać, pomyślałem, że może o tym napomknę.

– Nie mam panu już nic do powiedzenia. Żegnaj. – Okręciła się na pięcie i ruszyła w kierunku drzwi, ale on wyciągnął rękę, by ją powstrzymać. Oboje stanęli jak wryci. Czuł pod palcami jej skórę – ciepłą, pulsującą życiem.

Patrzyła na niego ogromnymi, świetlistymi oczami, otwierając usta w niechętnym zdumieniu. Kiedy później o tym myślał, nie wiedział dlaczego to zrobił. Pochylił się i pocałował ją, dotknął jej ust swoimi, dotknął jej ciała swoim, przycisnął ją do zamkniętych drzwi i ujął w ręce jej głowę. Miał rację co do jej ust – były miękkie, wilgotne i były najśłodszą rzeczą, jakiej kosztował w swoim długim, niezbyt moralnym życiu. Jej ręce oplotyły go w pasie, ciało przyłgnęło do niego i przez krótką, szaloną chwilę zastanawiał się, czy zamknąć drzwi na klucz, pociągnąć ją na dywan i rozebrać, zanim się zorientuje, co się dzieje. Przestał myśleć, zajął się wyłącznie jej ustami. Pocałunek stawał się coraz głębszy, mocniejszy, aż do momentu, gdy usłyszał jęknięcie, cichy dźwięk poddania i rozpacz. Ta rozpacz go zatrzymała. Podniósł głowę i popatrzył na nią. Oddychał ciężko zastanawiając się, czy ona czuje, jak bardzo jest podniecony, wiedząc jednocześnie, że nie mogłaby tego nie zauważyć.

– Cholera – powiedział drżącym głosem.

Miała oczy zamknięte, twarz bladą, wstrząśniętą. Na dźwięk jego głosu otworzyła oczy i popatrzyła na niego ze spóźnioną wściekłością.

– Cholera z tobą – powiedziała dobitnie. Odepchnęła go, a on nie protestował, zbyt zdumiony tym, co właśnie się stało. Zniknęła trzasnąwszy szklanymi drzwiami, najwyraźniej w nadziei, że może pękną.

Nie wiedział, skąd się wziął ten pocałunek. Nie był przecież jednym z tych mężczyzn, którymi kierują wyłącznie hormony. Liczył na to, że ją wystraszył. W jego życiu i planach nie było miejsca na taką rudowłosą złošnicę jak Shannon Donnelly. Wiedział o tym, nawet jeżeli nie potrafił oprzeć się pokusie spróbowania. Będzie wspominała go z gniewem. On zaś będzie wspominał ją, jeżeli będzie musiał, jako tę, która odeszła sprawiając, że jego życie stanie się spokojniejsze.

---

W tej chwili nie czuł się jednak zbyt dobrze. Może gdyby poznał ją piętnaście lat wcześniej... Ale ona wtedy nie była jeszcze pełnoletnia, on zaś już zdążył stać się cynikiem. Życie nie polega na tym, żeby spotkać właściwą osobę we właściwym czasie, był zbyt doświadczony, by tego nie wiedzieć.

Nigdy jednak nie był związany z kimś takim jak Shannon, z kimś tak gwałtownym i lojalnym, i nadszpiewanie niewinnym. Zadawał się z kobietami równie cynicznymi i zepsutymi jak on sam. A teraz okazało się, że wspomina jej smak, gwałtowność jej odpowiedzi, słodycz.

Pomyślał, że – Bogu dzięki – wyjeżdża w samą porę. Zanim zacznie wierzyć w bajki.

## ROZDZIAŁ 2

- No, spieprzyłeś sprawę – powiedział Eros.
- Nie pochwalam twojego sposobu wyrażania się – odparł Walenty sztywno. – A poza tym to twoja wina. Gdybyś nie wmieszał się w to wszystko z tym jękiem, mogliby dojść do wniosku, że się lubią.
- Lubią? Przez niego jej siostra rozplakała się na sali sądowej. On zabrał coś, co dla rodziny Donnellych znaczyło więcej niż pieniądze. Ona nigdy go nie polubi. W każdym razie nie po takim wstępie.
- Gdyby on nie zaczął być taki nachalny...
- Nachalny – powtórzył Eros rozbawiony. – Gdyby nie pociąg seksualny, w ogóle nic by między nimi nie było. Shannon nienawidziłaby Patricka, Patrick zapomniałby o jej istnieniu. Tylko pożądanie sprawia, że ten związek trwa.
- To nie jest żaden związek, to jeden z siedmiu grzechów głównych.
- Och, przestań. Prędzej czy później zostałyby usankcjonowany małżeństwem. Mieliby mnóstwo dzieci i odtąd żyliby długo i szczęśliwie.
- A ja czuję, że to jest poza naszym zasięgiem.
- Słuchaj, czy kiedykolwiek zdarzyło się nam przegrać? Ludzie wpadają w kłopoty tylko wtedy, kiedy zakochują się bez naszej pomocy.
- Wytlumacz w takim razie przypadek Harolda i Moiry Rasmussen. Przecież to się stało za naszą przyczyną.
- Wciąż tego nie mogę zrozumieć. – Eros zmieszał się.
- Może wyszliśmy z wprawy?
- Mów za siebie – odciął się Eros. – Ja dopiero zacząłem. Po prostu musimy podnieść stawkę. Masz jakiś pomysł?
- Sądzę, że możemy znowu użyć układanki – odpowiedział święty Walenty krzywiąc się. – W końcu już raz pomogła.
- Przyznaję, że to było z twojej strony świetne posunięcie – powiedział Eros wspaniałomyślnie. – Ja osobiście wolałbym, żeby to był jakiś erotyczny

---

obrazek, czy coś w tym rodzaju, ale rzeczywiście układanka była inspirująca. A co tym razem masz na myśli?

– No cóż, myślałem raczej o tym, co można zrobić dla jej siostry i szwagra, kiedy już przy tym jesteśmy. W końcu ich związek został uświęcony...

– Chyba odświęcony. Myślisz, że czym zajmuje się Lockwood?

– Dla mnie tego typu rzeczy nie istnieją. Co Bóg złączył, człowiek niech nie waży się rozłączać – powiedział święty Walenty tonem wykluczającym wszelkie sprzeciwy. – Chciałbym widzieć obie siostry Donnelly szczęśliwie zamężne.

– A ja chciałbym, żeby były po prostu szczęśliwe – rzekł Eros drapiąc się od niechcienia pod lewym skrzydłem.

– Na stare lata robisz się sentymentalny.

– Skądże – zaprotestował Eros. – Tylko lubię podglądać.

– To nic nowego. Chociaż zawsze uważałem, że nie powinienes tego robić.

– Tylko po to, żeby sprawdzić czy wszystko toczy się prawidłowo – odparł Eros zalotnym tonem.

– Nie próbuj przekonywać mnie, że robisz to z czystych pobudek – rzekł Walenty. – Ty i czystość macie ze sobą niewiele wspólnego.

– To prawda – zgodził się Eros. – Ale przynajmniej łatwo mnie zabawić.

– Niby co muszę zrobić? – warczała Shannon.

Było to kilka miesięcy później. Moira po rozwodzie wróciła do rodziców i braci, a Shannon jak zwykle starała się zajmować wszystkimi. Tym razem jednak miała już dość.

– Musisz pojechać i przywieźć mi układankę.

– Nie pojedę – odpowiedziała stanowczo. – Żadna siła mnie do tego nie zmusi.

– Nie bądź uparta, Shannon. Jeżeli... jeżeli Harold chce to oddać, to nie możemy odmówić. Przypuszczam, że on sobie kogoś znalazł – powiedziała Moira cichutko. – Teraz to już nie jest mu potrzebne.

– Harold jest głupi – rzekła Shannon. – Ty zresztą też, bo nie walczyłaś o uratowanie swojego małżeństwa.

– Wtedy trzeba było mi to powiedzieć – odparła Moira. – Wszystko wymknęło nam się z rąk i żadne nie chciało ustąpić. Niech to będzie dla ciebie przestrogą, chociaż nie sądzę, żebyś miała tego typu problemy. Mężczyźni, z jakimi ty przestajesz, nie odważyliby się tobie przeciwstawiać.

– Czy możesz zejść ze mnie? Tylko dlatego, że nie interesuję się samcami...

– Harold nie jest taki – sprzeciwiła się Moira z oburzeniem.

– To dlaczego rozwiodłaś się z nim?

– Przestańmy się o to kłócić. Chcesz układankę czy nie? Byłoby głupio teraz ją stracić.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? – Shannon obstawała przy swoim.

– Ona jest twoja – przecież ty pierwsza wyszłaś za mąż. Dasz w prezencie



następnemu mężowi.

– Jak możesz! – zaprotestowała Moira. – Nawet nie chcę o tym myśleć. Jak będziesz brała ślub, układanka będzie twoja.

– Niby dlaczego ja mam być następna? Wygląda na to, że Jamie i Sally byłiby chętni, a Sean też nie zostaje w tyle.

– A co z tym ciamajdą, z którym się spotykasz? Byłam pewna, że teraz ja będę musiała cię pilnować, żebyś nie zniszczyła sobie życia, jak ja zniszczyłam moje.

– Już nie widuję się z Tedem – odpowiedziała Shannon stłumionym głosem. – A przy okazji, ty nie zniszczyłaś sobie życia wychodząc za męża, tylko rozwodząc się.

– Kiedy zerwałaś z Tedem? – Moira była tak zaskoczona, że nie zwróciła uwagi na zaczepkę.

– Podczas twojego rozwodu – wyrwało się Shannon, zanim zdążyła pomyśleć drugi raz.

– To wszystko było dla ciebie zbyt ciężkim przeżyciem – skwitowała Moira, najwyraźniej prześladowana myślami o rozpadzie swojego małżeństwa.

– Można tak powiedzieć – odparła Shannon. Przez trzy miesiące, które upłynęły od rozwodu Moiry, nie interesowała się nikim. Nikim, z wyjątkiem sporadycznych, męczących snów o Patricku Lockwoodzie i jego pocałunku.

– Jeżeli chcesz układankę, to dlaczego po prostu nie pojedziesz po nią?

– Ja mam rozmawiać z tym adwokatem, po tym, co mi zrobił?

– A Harold nie mógł ci jej przysłać?

– Wiesz przecież, że ona ma dla nas zbyt wielką wartość, by można było powierzyć ją poczcie. Tak czy owak musi przejść przez adwokata – trzeba podpisać różne papiery.

– Ale to ty musisz podpisać – spróbowała jeszcze raz Shannon.

– Przecież udzieliłam ci pełnomocnictwa. Proszę cię, to już ostatni raz.

Shannon nie uwierzyła w to ani na chwilę. Była najstarsza z sześciuosobowej zgrai rodzeństwa i przez całe życie opiekowała się resztą. Wiedziała, że za bardzo się do tego przyzwyczaili i częściowo sama była temu winna. Chwilami chciała uciec gdzieś na bezludną wyspę, z dala od rodziny, telefonów i kolejnych żądań.

– Zgoda – powiedziała, zmęczona już tą rozmową. – Chociaż wcale nie mam ochoty. Gdyby nie chodziło o układankę...

– Wiedziałam, że mogę na tobie polegać – powiedziała Moira uszczęśliwiona, zarzucając jej ramiona na szyję. – Jak już będziemy miały ją z powrotem, będę mogła raz na zawsze wymazać Harolda z mojego życia i wziąć się w garść.

– Zobaczmy – odparła Shannon kwaśno. – Nie jestem pewna, czy to pójdzie tak łatwo. Teraz nie mogę pojechać do Nowego Jorku. Muszę najpierw skończyć u Cameronów, a potem...

– Ależ nie – przerwała jej Moira. – Patrick Lockwood nie jest już w

---

Nowym Jorku.

- Przecież ma tam biuro.
- On rozwiązał tamtą spółkę.
- W ciągu dwóch miesięcy? – spytała Shannon z niedowierzaniem.
- Widocznie to trwało już od jakiegoś czasu. Ale to dobra wiadomość, bo teraz jest bliżej nas.
- Może dobra dla ciebie. Nie jestem pewna, czy stan Massachusetts na tym zyska – powiedziała Shannon krzywiąc się.
- On nie mieszka tutaj, w Massachusetts, tylko w stanie Maine, na wybrzeżu. To nie może być dalej niż cztery – pięć godzin jazdy samochodem. Mogłabyś pojechać w ten weekend.
- Naprawdę nikt inny nie może?
- Nikomu innemu tak nie ufam – mówiła Moira ze łzami w oczach. – I w końcu ty nie masz żadnych problemów z Lockwoodem. Mój adwokat twierdzi co prawda, że on jest szalenie miły, ale znasz przecież naszych chłopców. Gdybym wysłała któregoś z nich, mógłby wypruć mu flaki.
- Do czego oczywiście nie możemy dopuścić – dodała Shannon tłumiąc w sobie żądzę przelania wrogiej krwi. – Masz rację, ja przecież nie mam z nim problemów. Najmniejszych problemów.

Trzy dni później Shannon jechała w stronę wybrzeża Maine. Nad jej głową świeciło zimne, lutowe słońce, zaś w duszy ciążyło jakieś dziwne przeczucie. Musi spotkać się twarzą w twarz z Patrickiem Lockwoodem i przekonać się, że przecież jest on tylko zwykłym mężczyzną. To prawda, że bardzo atrakcyjnym, ale posiada też wszystkie te cechy, którymi ona gardzi. Wyniosły, pewny siebie, arogancki, zbyt pociągający, a na dodatek adwokat. Ten pocałunek w jego biurze to był jakiś dziwny przypadek, chwilowy impuls i nic dziwnego, że takie niecodzienne zachowanie nie dawało jej spokoju. Wszystko wróci do normy, kiedy go znowu zobaczy i upewni się, że miała rację.

Powinna była domyślić się, że sprawa nie będzie taka łatwa. Barkhaven w stanie Maine nie było po prostu małym nadbrzeżnym miasteczkiem. Zgadza się, leżało na wybrzeżu, ale to było prywatne wybrzeże. Patrick Lockwood mieszkał na swej własnej wyspie, na dodatek pozbawionej linii telefonicznej i odciętej od świata.

Przyjechałam tak daleko, pomyślała ze złością, nie po to, by teraz zrezygnować. Muszę jakoś dotrzeć na wyspę i zabrać układankę, żeby nasza rodzina już nigdy nie słyszała ani o Patricku Lockwoodzie, ani o Haroldzie Rasmussenie. W końcu okazało się to nadspodziewanie proste. Niemal podejrzenie proste, ale Shannon nie miała podejrzliwej natury.

– Słyszałem, że pani chce popłynąć na Barkhaven – zagadnął ją ogorzały od wiatru mężczyzna, który podszedł do niej, kiedy stała na przystani wpatrując się w ciemnozielony ocean. – Jestem Fred Rogers. Mogę tam panią podrzucić, a potem zabrać po paru godzinach, kiedy będę płynął z

powrotem.

– To byłoby wspaniale – powiedziała Shannon bez wahania, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Przeznaczenie widocznie chciało, żeby dostała się na tę wyspę i byłoby nierozsądne sprzeciwiać się temu.

Godzinę później byli już w drodze. Mimo swojej puchowej kurtki Shannon przemarzała na wylot, kiedy płynęli po coraz bardziej wzburzonym morzu w stronę horyzontu.

– Lockwood nie niewa zbyt wielu gości – zauważył Fred, patrząc na nią z ciekawością. – Czy on się pani spodziewa?

– Już zdążył mieć gości? Przecież nie mieszka tu długo.

– Och, prawie dziesięć lat. Nie przez cały czas, tak jak teraz, ale znają go tu dość dobrze.

– Chyba niełatwo być adwokatem, jeżeli nie ma się telefonu – zauważyła Shannon.

– On tu nie jest adwokatem, proszę pani.

– W takim razie jak zarabia na życie?

– Robi to i tamto. Niech pani sama go zapyta.

– To nie jest towarzyska wizyta – powiedziała Shannon sztywno. – Po prostu mam coś stamtąd zabrać i natychmiast wracam. To mi nie zajmie nawet minuty, więc gdyby pan mógł poczekać...

– Muszę przed zmierzchem popłynąć na wyspę Moncouth i z powrotem – odpowiedział Fred potrząsając głową. – Teraz jest ładnie, ale luty to bardzo zły miesiąc i nie chcę ryzykować. Może pani posiedzi na przystani w Barkhaven i złapie trochę słońca.

Wolała już łódź niż towarzystwo Patricka Lockwooda.

– Dobrze, będę na pana czekała.

Wyspa Barkhaven była mała i górzysta, z krajobrazem upstrzonym ciemnozielonymi drzewami ciągnącymi się w dół, aż do szarzielonego oceanu. W oddali stał budynek wyglądający na staroświecki dom letniskowy. Widać też było coś wielkiego, podobnego do hangaru, ciągnącego się aż do brzegu morza.

– Chyba nie oczekiwał pani – zauważył Fred kierując łódź wzdłuż przystani. – Pewnie znajdzie go pani w warsztacie szkutniczym.

– Czy to jest to coś wyglądające jak stodoła? – spytała Shannon. – Co on tam trzyma, transatlantyk?

– Coś w tym rodzaju. Będę z powrotem za parę godzin, może wcześniej, o ile pogoda pozwoli.

– Ale chyba nie myśli pan, że będzie sztorm, prawda? – spytała czując nagły przypływ strachu.

– Prognoza nic o tym nie mówi, ale luty jest zdradliwy i zawsze trzeba mieć oczy szeroko otwarte.

Stała na przystani trzęsąc się z zimna w swych starych dzinsach i puchowej kurtce, obserwując, jak silna, mała łódź powoli odpływa. Niepotrzebnie się denerwuje, pomyślała. Na niebie nie ma przecież śladu

---

chmur. Jednak wciąż nie mogła pozbyć się złych przeczuc. Powiedziała sobie, że to perspektywa ponownego ujrzenia Lockwooda wpływa na nią tak przygnębiająco. Ale teraz już nie zareaguje na ten jego wyniosły, arogancki wdzięk. Musi tylko zobaczyć go i upewnić się, że jest po prostu zwykłym mężczyzną, może tylko trochę bardziej przystojnym niż ci, z jakimi zwykle obcowiała. I im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

Patrick Lockwood był w swoim rutynowo podłym nastroju. To była jedna z rzeczy, które najbardziej mu się podobały w jego nowym wcieleniu – mógł być tak skwaśniały jak tylko miał ochotę i nikt nie zwracał na to uwagi. Głównie dlatego, że nikogo nie było w pobliżu. Po czterdziestu jeden latach życia w otoczeniu tłumów, spokój i cisza na Barkhaven były jak kojący balsam dla jego duszy. Kiedy mijały kolejne tygodnie, cisza czasami stawała się denerwująca, ale wciąż nie zamieniłby jej na wszystkie uciechy Manhattanu. Czerpał niewątpliwe zadowolenie z tego pustelniczego życia i nie miał zamiaru pozwolić, by ktokolwiek je zakłócił.

Przykucnął, spoglądając na kadłub wycieczkowego jachtu. Był naprawdę piękny, mimo wielu lat zaniedbania. Szkielet kadłuba musiał być jednak zbudowany od nowa, a wewnątrz również wymagało remontu. Wciąż nie mógł znaleźć nikogo, kto mógłby wykonać tę pracę, i tak naprawdę wcale nie przykładał się do szukania. Miał zamiar odnawiać tę łódź własnoręcznie tak długo, jak będzie potrafił. Jej właściciel był dyrektorem wielkiej firmy farmaceutycznej, a Patrick prowadził jego drugi i trzeci rozwód, za co tamten był jego dozgonnym dłużnikiem. Może sobie poczekać. Wydawało mu się, że słyszy jakiś dźwięk, ale pomyślał, że musiał się pomylić. Jednak podniósł wzrok i wtedy zobaczył ją stojącą w otwartych drzwiach, na tle słonecznego światła – wysoką, młodzieńczą, o długich nogach, w kurtce maskującej kształty. Pod słońce nie mógł rozpoznać rudych włosów, ale i tak wiedział, że to ona, wiedział o tym w poczuciu nagłej klęski. Oto Nemezis, która pojawiła się, by zniszczyć gładki bieg jego cudownej samotności.

– Przepraszam – powiedziała wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi – szukam Patricka Lockwooda. Czy pan może wie, gdzie mogłabym go znaleźć?

Podniósł się powoli, uważając, żeby nie dać nic po sobie poznać. Nie chciał jej tutaj. Była częścią jego dawnego życia, chwilowym zauroczeniem, które mogło źle się skończyć. Widział jak jest napięta, wiedział, że uzbroidła się na spotkanie z wrogiem, ale nie poznała go, kiedy stanęli twarzą w twarz. Nie mógł jednak czynić jej z tego zarzutu. Doskonale zdawał sobie sprawę, co też ona widzi tymi swoimi pięknymi błękitnymi oczami, pełnymi gniewu, pasji i bezgranicznej wierności. Widziała mężczyznę zupełnie niepodobnego do kogoś, kogo znała. Miał na sobie wiekowe dżinsy, podarte na kolanach. Razem ze starą dżinsową koszulą, ocieplaną zamszową kamizelką, adidasami, którym daleko było do treningowego obuwia i roboczymi rękawicami, nie miały nic wspólnego z tamtym włoskim garniturem. Twarz też trudno było rozpoznać. Nie golił się od kilku dni, a

włosy tak mu urosły, że w końcu związał je z tyłu. Były teraz jeszcze bardziej przyprószone siwizną, co nawet go bawiło. Ona pomyśli zapewne, że ma przed sobą pracownika, służącego u eleganckiego Patricka Lockwooda. Nie docenił jej. Podeszła krok bliżej i gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Och – powiedziała. – Nie wiedziałam, że to pan.

– Co do diabła pani tu robi?

Chciał, żeby to zabrzmiało niegrzecznie. Nie życzył sobie, żeby zakłóciła mu spokój. Nie chciał jej widzieć, nie chciał słyszeć jej matowego, tak podniecającego głosu.

– Chyba pan oszalał, jeżeli pan sądzi, że chciałam się tu znaleźć – odpaliła.

– Gdyby pani nie chciała, to by pani tu nie było. Nie pamiętam, żebym panią zapraszał.

– Przyjechałam po chińską układankę.

– To cholerne pudło? Z jakiej racji ja miałbym je mieć? – powiedział nie ruszając się z miejsca. Nie chciał ani trochę zbliżyć się do niej, bo wciąż jej pragnął, pragnął gwałtownie i jedyną formą obrony było trzymanie się z daleka.

– Co to znaczy, z jakiej racji? Przecież jest pan adwokatem Harolda. Gdyby pan zapomniał, to przypominam, że ja je panu przywiozłam.

– Nie zapomniałem niczego.

Zamrugła oczami i też cofnęła się o krok, by nie być za blisko niego.

– Harold rozmyślił się, powiedział, że mimo wszystko możemy ją wziąć. Moira poprosiła mnie, żebym to zrobiła...

– I oczywiście pani się zgodziła. Wie pani, gdyby pani była troszkę mniej gotowa ratować swoją siostrę, może jej samej udałoby się coś zrobić z tego małżeństwa.

Wreszcie osiągnął to, czego chciał – rozwścieczył ją.

– Nie przypląnęłam tutaj, żeby wysłuchiwać amatorskiego psychologizowania – warknęła. – Proszę tylko o układankę.

– Nie mam jej – odparł stanowczo. – A jeżeli już o tym mowa, to jak się pani udało tutaj dostać? Chciałbym wiedzieć, komu mam dziękować za pogwałcenie mojej prywatności.

– Nie pogwałciłabym pańskiej cholernej prywatności, gdyby miał pan telefon.

– Zbyt duża odległość od lądu. Podejrzewam, że to stary Fred – powiedział. – Nigdy nie potrafił odmówić kobiecie w tarapatkach. Czy on czeka na panią?

– Wstąpi po mnie, jak będzie wracał.

Patrick wyrzucił z siebie wiązkę dosadnych przekleństw.

– Na pewno popłynął na Moncouth. Przypuszczam, że teraz jestem skazany na panią przez najbliższą godzinę, jak nie dłużej.

– Nie musi pan nic przypuszczać. Poczekam na niego na przystani.

---

– Droga pani – powiedział znużony. – Tam jest cholernie zimno. Na wietrze jest ze dwadzieścia stopni mrozu. Nie chciałbym, żeby odrąbywał od pomostu zamrożone ciało.

Widział, że już jest przemarznięta – wargi miała blade, bezkrwiste, a ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze. I nic dziwnego, łódź Freda, choć solidna, była niespecjalnie dobrze wyposażona, a ta uparta baba stała pewnie przez cały czas na pokładzie, w podmuchach wiatru.

– Dam pani kawy – powiedział z rozdrażnieniem.

– Prędeż umrę, niż wypiję pana kawę.

– Może i tak się stanie, jest pani o krok od zapalenia płuc – rzekł odwracając się i podchodząc do ławki, na której stał jego termos. – Tutaj jest piecyk. Proszę się ogrzać, jeżeli to zbytnio nie urazi pani godności.

– Nie jest mi zimno – odparła trzęsącym się głosem.

– Oczywiście. – Nalał kawy do najczystszeo z kubków, odwrócił się i czekał, aż ona podejdzie. – Ugrzęzła tu pani na co najmniej następną godzinę, więc radzę spędzić ją wygodniej.

Shannon była rozsądną kobietą. Podeszła bliżej i wzięła kubek z jego rąk, a następnie usadowiła się przy piecu.

– Nie przypuszczam, żeby pan wiedział, gdzie jest ta układanka? – odezwała się ostrożnie, spokojnym głosem.

– Widzę dwie możliwości. Pierwsza – Rasmussen mógł wysłać to do mojego byłego współnika, Gebbiego. Ale nie sądzę, by tak się stało.

– A druga możliwość?

– Rasmussen wciąż to ma i licząc na pojednanie oczekuje, że Moira po to przyjedzie. – Nalał sobie kawy do zakrętki od termosu, żałując jak diabli, że rzucił palenie. Ciekawe, czy Shannon wciąż pali.

– Na jakiej podstawie pan tak myśli? Wiem na pewno, że to Moira nie chciała rozwodu.

– O ile wiem, Rasmussen też tego nie chciał – powiedział wzruszając ramionami.

Shannon nie mogła złapać tchu z zaskoczenia.

– Czy pan coś zrobił w związku z tym? – zapytała. – Podsunął im, że mogliby to rozwiązać w inny sposób?

– Moja droga, to już zupełnie nie moja sprawa. Ja robiłem całkiem niezłe pieniądze prowadząc sprawy rozwodowe. Nie w moim interesie byłoby aranżować czule pojednania.

– Teraz pana poznaję – powiedziała ostrym tonem. – Może pan nosić inne ubranie, ale wewnątrz jest pan wciąż tak samo nieczuły.

– Proszę bardzo, niech pani dokonuje oceny mojego charakteru, kiedy tylko ma pani ochotę – powiedział podnosząc kubeczek w geście toastu. – Jakoś nie mam obaw przed wiecznością.

– Pan pewnie w nią nie wierzy.

– W życiu na tamtym świecie? Nie. Ale tak w ogóle, to ja w mało co wierzę. Jestem bardzo cyniczny, droga pani. I przekonałem się, że najlepiej

będzie, jeżeli nie będę wierzył w nikogo i w nic, tylko w siebie.

– Bardzo interesująca wiara. Cieszę się, że pan uważa, iż jest tego wart.

– Wiem, jakie są moje słabe strony. – Od dawna nie był tak podniecony, chyba od czasu tych paru krótkich chwil w swoim biurze, kiedy trzymał tę przedziwną kobietę w ramionach. – I zdaję sobie sprawę ze swojej siły – dodał.

– Tego jestem pewna. Czy pan choć trochę czuje się winny? Gdy niszczy pan czyjeś życie?

– Ja nie niszczę nikzyjego życia, o to już ludzie dbają sami. Ja tylko się staram, żeby wszystko odbyło się gładko i bezosobowo.

– Życie nie jest gładkie i bezosobowe – rzekła z oburzeniem. – Jest trudne, pełne namiętności i przynosi same kłopoty.

– Czy my rozmawiamy o życiu? – spytał chłodno. – Czy może o tym, co niektórzy nazywają miłością?

– Przypuszczam, że w to także pan nie wierzy?

– Nieszczęśliwie. – W przepastnym warsztacie zrobiło się ciemniej, prawie niesamowicie, i nagle ogarnęło go złe przeczucie. – Ale pani nie przyjechała aż tutaj, by wysłuchiwać mojej teorii na temat sensu życia.

– Na pewno nie. Ale teraz, kiedy pan już o tym wspomniał, to mógłby pan mnie oświecić. Co według pana jest sensem życia?

– Nie ma nic takiego – powiedział podchodząc do wysoko umieszczonego okna, by wyrzecz w stronę morza. – Do jasnej cholery – zaklął ze złością. Shannon zsunęła się ze stolka i stanęła przy nim. Denerwująco blisko, zbyt blisko.

– Co się stało? – spytała wspinając się na palce, by dosięgnąć okna. – Och, nie – jęknęła. – Skąd to się wzięło? To coś nie było niczym innym jak burzą śnieżną. Jasne, błękitne niebo zrobiło się czarne, śnieg zaczął padać w szaleńczym tempie, niczym grad, a wiatr miotał nim w okno. – Co za okrutne i złośliwe fatum – powiedział gorzko.

– Teraz nie ma co wyglądać Freda.

– Czy nic mu się nie stanie? – spytała zaniepokojona.

– Fred mógłby pływać w każdych warunkach, jakkolwiek jest zbyt rozsądny, żeby to robić. Na pewno został na Moncouth.

– Jak długo to potrwa?

– Nie mam pojęcia. Może kilka godzin, ale bardziej prawdopodobne, że dzień lub dwa.

– To znaczy, że tu ugrzęzłam? – Teraz już nie mogła ukryć przerażenia w głosie.

Popatrzył na nią. Stała blisko, oczy miała rozszerzone z przerażenia, a usta jej drżały.

– Ugrzęźliśmy tu razem – wycedził. – Panno Donnelly, witam na Barkhaven.

– Jak w najgorszym z nocnych koszmarów. – Wzdrygnęła się.

– Właśnie – powiedział zastanawiając się, w jaki sposób będzie mógł jej

---

się oprzeć. I czy w ogóle będzie próbował.



## ROZDZIAŁ 3

– Okrutne i złośliwe fatum? – powtórzył święty Walenty. – To mi się podoba! Ja tutaj robię co mogę, by znaleźć cel w życiu dla tego cynicznego malkontenta, a on mnie wyzywa.

– Nie był zbyt ucieszony tą burzą – powiedział Eros. – Ja też myślę, że to było trochę za mocne. Mogłeś tylko uszkodzić łódź tego starego, żeby nie mógł się ruszyć z tamtej wyspy.

– Ale wtedy Lockwood mógłby zapakować Shannon do swojej łodzi i sam zawieźć ją na ląd. Gdyby musiał, to pewnie popłynąłby z nią wplaw, tak rozpaczliwie chce się od niej uwolnić. Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego. Myślałem, że to ona go nie lubi, a nie odwrotnie.

– Nie nauczyłeś się wiele do tej pory o ludzkiej naturze – strofował go Eros. – Patrick Lockwood to twarda sztuka. On nie chce się zakochać i jest na tyle mądry, by wiedzieć, że w Shannon Donnelly spotkał to, na co zasłużył. Jedyne sposoby obrony to uciec od niej. Inaczej będzie musiał zrozumieć, że ten jego cały tak pieczołowicie skonstruowany cynizm jest zły. Że istnieją takie rzeczy jak prawdziwa miłość i szczęście.

– Czy mnie słuch myli? Myślałem, że ty zajmujesz się raczej seksem.

– To kwestia nastawienia – odparł Eros. – My tylko mamy różne zdania, co jest ważniejsze, ale obaj chcemy tego samego. Ja myślę, że udany seks to droga do prawdziwej miłości. Ty zaś uważasz, że prawdziwa miłość jest drogą do udanego seksu.

– Nie interesuje mnie udany seks – powiedział Walenty wyniośle.

– Wiem że nie, ale pomyśl o naszych parach. Czy naprawdę chcesz je skazać na życie w celibacie?

– Na pewno byłoby o wiele spokojniejsze.

– Spokój to nie wszystko. Jak długo masz zamiar utrzymać ten szalejący sztorm?

Walenty popatrzył groźnie spod białych, krzaczastych brwi.

---

– Tyle, ile będzie trzeba – odpowiedział. – Ci ludzie należą do siebie i mam zamiar dopilnować, żeby tak się stało. Z twoją pomocą czy bez niej.

– W takim razie zabieram się do roboty. Nie chcemy przecież, żeby całe wschodnie wybrzeże zostało zagrzebane w śniegu – powiedział Eros uśmiechając się. – Teraz moja kolej.

– Postaraj się – poprosił Walenty, a głos jego zabrzmiał nagle jakoś miękko.

Eros zdał sobie sprawę, nie po raz pierwszy zresztą, że mimo ciągłego zrządzenia ma on naprawdę wrażliwe serce.

– Zrobię, co tylko będę mógł – przyrzekł i zabrał się do pracy.

Shannon Donnelly zastanawiała się w roztargnieniu, czy może złapała zapalenie płuc. Jeszcze tylko tego jej brakowało. Na tej starej, zardzewiałej łodzi Freda Rogersa zimno przeniknęło ją do szpiku kości, teraz zaś wydawało się jej, że płonie. Sam piec był wystarczająco gorący, ale jeszcze gorsze było przebywanie tak blisko Patricka Lockwooda. Skóra ją szczypała, twarz paliła i nie wiedziała, czy to zapalenie płuc, czy też miłość. Z dwójga złego wołała już to drugie. Opanowała chęć odwrócenia się tyłem i trzymając wysoko głowę patrzyła prosto na niego. Był jakiś inny i jednocześnie ten sam. Pomimo znoszonych dżinsów, długich włosów i niechlujnego zarostu miał wciąż te same zielone oczy w odcieniu morskiej wody, obserwujące ją z niepokojącym wyrazem.

– Równie dobrze możemy pójść do domu – odezwał się.

– Dlaczego?

– Żebym mógł tam panią zgwałcić – odparł. – Ma pani jeszcze jakieś pytania?

– Chyba zostanę tutaj – powiedziała, wcale nie ubawiona.

– Niech się pani rozgości. Ale uprzedzam, że nie mogę pracować, jeżeli ktoś mi się przygląda i nie mam zamiaru podtrzymywać tego ognia. Przy okazji – tu nie ma nic do jedzenia, nie ma łazienki, a generator nie wystarcza na oba budynki. Kiedy jestem w domu, prąd tutaj jest wyłączony.

– Pan jest takim gościnnym gospodarzem – odezwała się jak najsłodszy głosem.

Na jego twarzy pojawił się szyderczy uśmiech.

– Shannon, jesteśmy tu uziemienni i nie mamy innego wyboru niż znosić się nawzajem. Wyglądasz, jakbyś potrzebowała zjeść coś gorącego, a ja potrzebuję się napić.

– Chyba wołałam formę „pani” – odrzekła sztywno.

– Nie mam co do tego wątpliwości, Shannon.

Chciała coś odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Patrzyła, jak zalewa wodą ogień w piecu i gasi górne światła, wszystko to z pełną wdziękiu oszczędnością ruchów.

– To twoja łódź?

– Należy do mojego klienta – odpowiedział potrząsając głową. – Tym

właśnie teraz się zajmuję, naprawą zabytkowych łodzi.

– Dość wyrafinowane hobby.

– To prawda, że wyrafinowane – odparł unosząc brew – ale to nie jest hobby.

– Nie wiedziałam, że właściciel prywatnej wyspy musi zarabiać na swoje utrzymanie.

– Jeżeli jesteś na tyle źle wychowana, by zapytać, ile mam pieniędzy, to odpowiem, że więcej niż mi potrzeba. I nie kupowałam tej wyspy – ona należała do moich dziadków i muszę dzielić ją każdego lata z siostrą i jej dziećmi. Niezależnie od tego, prowadzenie spraw rozwodowych to bardzo dobry sposób zarabiania pieniędzy, zapotrzebowanie na te usługi nie ma końca. Teraz już nie muszę pracować dla pieniędzy, pracuję dla samej satysfakcji.

– Jak szlachetnie.

– Niezupełnie – odparł, wkładając pamiętającą lepsze czasy zieloną kurtkę i włóczkową czapkę. – Robię to dla własnej przyjemności. W przeciwieństwie do ciebie nie odczuwam potrzeby opiekowania się innymi.

– A co z rozwodem twojej siostry?

– Jeszcze nie nastąpił, ale uważam, że to tylko kwestia czasu. Większość małżeństw rozpada się, a Lockwoodowie biją na głowę krajową statystykę. W tej rodzinie nie było szczęśliwego małżeństwa od czasu, gdy nasi przodkowie przyłączyli tu pierwszym statkiem.

– Może powinni byli zaczekać na inny – powiedziała Shannon. – U nas rozwód Moiry jest pierwszym przypadkiem i nie stało by się tak, gdyby Harold miał przyzwoitego adwokata.

Nie trudził się odpowiedzią na tę prowokację, tylko pchnął drzwi otwierając je na szalejący sztorm.

– Trzymaj głowę nisko i idź za mną – zawołał przekrzykując wycie wiatru.

– Nie mam zamiaru szukać cię w oceanie.

Nie chciało jej się wychodzić, ale właściwie nie miała wyboru. Bała się zostać sama w ciemnym, zimnym warsztacie, a wierzyła, że Patrick mógłby ją tu zostawić. Jeszcze nigdy nie doświadczyła czegoś równie strasznego, jak ta burza. Wiatr bił ją śniegiem prosto w twarz, targał za włosy, oślepił. Widziała jedynie wysoką postać Patricka tuż przed sobą i nie odrywała od niego oczu, kiedy przedzierała się przez tę nawałnicę. Na nogach miała adidas-y i ślizgała się w głębokiej po kostki brei. Nagle upadła, lądując ciężko na kolanach, ale on zaraz był przy niej i pomógł jej wstać.

– Musisz iść – przekrzykiwał szalejący sztorm trzymając ją za rękę. Chociaż miała ocieplane rękawice, a on grube, skórzane, czuła, że ciepło jego ciała przenika ją aż do kości. Kiedy dotarli do domu okazało się, że jest w nim ciemno, ale na szczęście ciepło. Patrick popchnął ją w stronę krzesła, mrucząc coś grubiańskiego pod nosem, uklęknął przy niej i zaczął zdejmować z jej nóg oblepione śniegiem buty.

– Sama to zrobię – powiedziała trzęsącym się z zimna głosem i kopała

---

nogami, usiłując go odpędzić.

– Dobrze. Zobaczę, co uda mi się zrobić z generatorem. Przełączyłem go, kiedy wychodziliśmy z warsztatu, ale wygląda na to, że nie działa.

– Nie ma prądu? – Nie mogła ukryć paniki.

– W tej chwili nie. Kuchnia i lodówka są na gaz, ogrzewanie na drewno, więc wyobrażam sobie, że jakoś uda nam się utrzymać przy życiu. Proponuję, żebyś zdjęła te mokre ciuchy, zanim do końca przemarzniesz.

– I włożyła coś wygodniejszego? – powiedziała krzywiąc się. – Niestety, chyba nie jestem przygotowana.

– Posłuchaj, panienko. Jestem zbyt przemarznięty i w złym humorze, by myśleć o podrywaniu. Jeżeli o mnie chodzi, to możesz sobie biegać tu kompletnie naga i przyrzekam, że uda mi się utrzymać ręce przy sobie. W tej chwili obchodzi mnie tylko to, czy generator będzie pracował.

– To zajmij się tym generatorem. Ja sobie dam radę.

– Jestem tego pewien – wycedził.

Nie musiała widzieć jego twarzy w ciemności, by wiedzieć, że z niej kpi. W chwilę później już go nie było – zostawił ją samą, bez żadnej świeczki czy latarki, która rozproszyłaby ciemności tej dziwnej burzy. Zdjęła mokrą kurtkę i skarpety, otrząsnęła śnieg z włosów i podwinęła wilgotne nogawki spodni. Czują pod stopami mokrą i zimną podłogę, kiedy szła w kierunku, skąd dochodziło ciepło, i o mało nie wpadła na stary, brzuchaty piec. Po chwili rozpoznawała już trochę zarysy przedmiotów i potykając się podążyła w stronę sofy. Coś na niej leżało i owinęła w to swoje trzęsące się z zimna ciało. To coś było miękkie, ciepłe i wspaniałe. Po raz pierwszy od wielu godzin poczuła się naprawdę bezpieczna, aż nagle zapaliło się światło i okazało się, że to coś to nic innego niż szlafrok Patricka Lockwooda.

Zerwała go z siebie gwałtownie. Za żadne skarby nie chciała, by ją przyłapał w swoim ubraniu. Rozejrzała się wkoło ze zdziwieniem. W Nowym Jorku miał na pewno mieszkanie podobne do biura, całe w szkłe, chromach i stali. To miejsce urządzone było po wiejsku, przeładowane sfałtgowanymi meblami, z bałaganem na regałach, gazetami i czasopismami rozsypanymi wszędzie wokoło. Na podłodze leżał wschodni kobierzec – wypłowiały, lecz bezcennej wartości. Piec był dziełem sztuki, a brudne talerze na stole zrobione z najlepszej chińskiej porcelany. Dom emanował zaniedbaną elegancją i pasował do człowieka, jakim, zdaje się, ciągle był Patrick Lockwood.

Czekała cierpliwie, aż znów się pojawi. Miał całkowitą rację, umierała z głodu, ale nie chciała grzebać w kuchni bez jego pozwolenia. Od czasu spotkania w Nowym Jorku stał się zadziwiająco kwaśny i skądinąd ją to cieszyło. Wołała gderliwość od tamtego uroku, który działał na nią o wiele, wiele za mocno. Takemu zrządzie potrafi się oprzeć. Czy naprawdę, pomyślała nagle. Musiała przyznać, że jego obecny wygląd był problemem. Dawny Patrick Lockwood był zgubną kombinacją wdzięku i elegancji, od szytego na miarę garnituru po robione na zamówienie buty. Był gładki,

nienaganny i wywoływał szczerzy podziw. Nowy Patrick Lockwood był zaniedbany, nie ogolony, jego ubranie wyglądało raczej jak ze sklepu ze starzyzną niż od najlepszych krawców. Mimo to wciąż miał jakąś wrodzoną elegancję, która sprawiała, że czuła się przy nim odrobinę niechlujnie. A może tylko chciała go takim widzieć.

Była już zmęczona czekaniem, więc zaczęła przeszukiwać mieszkanie. W kuchni obejrzała owe urządzenia na gaz, które, chociaż stare, wyglądały na w pełni sprawne oraz dobrze zaopatrzoną szpizarnię. Na drewnianych kołkach przy drzwiach wisiał rząd przeciwsztormowych ubrań. Wyjrzała na zewnątrz, ale zobaczyła tylko chmurę wirującej bieli.

– Gdzie ty się podziewasz, do diabła – mruknęła pod nosem. I nagle przyjrzała się uważniej, gdyż spostrzegła coś poruszającego się kilka kroków od domu, a właściwie pełzającego tuż przy ziemi.

– O, cholera – zaklęła otwierając drzwi i wpuszczając do środka wyjąca burzę. Bez wahania zaczęła brnąć boso przez głęboki śnieg, nie zważając na zimno, aż dotarła do Lockwooda. Uklękła przy nim, ledwo go widząc przez padający gęsty śnieg.

– Co się stało? – zawołała.

– Nie zadawaj głupich pytań, tylko pomóż mi dostać się do środka – odparł napiętym z bólu głosem. Spróbowała go podnieść, ale był za ciężki i pociągnął ją w dół, w śnieg, który zmoczył jej już i tak wilgotne ubranie. Zaparła się bosymi stopami w lepkim śniegu i w pół ciągnąc pomogła mu dotrzeć do kuchni, gdzie opadł ciężko na podłogę. Ubranie miał oblepione śniegiem, twarz zbieła z bólu, a oczy zamknięte. Zaraz jednak je otworzył i popatrzył na nią.

– Czy ty całkiem zgłupiałaś? – zapytał szorstko. – Nie mogłaś chociaż włożyć butów?

Spojrzała w dół, na swoje stopy i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jest przemarznięta. Zasługiwał na to, żeby go teraz zostawiła i poszła do pokoju się ogrzać, ale zamiast tego uklękła i zaczęła rozpinać mu kurtkę. Próbował odepchnąć jej ręce, ale zlekceważyła te niezdarne wysiłki.

– Co ci się stało? – spytała jeszcze raz.

– Skręciłem nogę w kostce – odpowiedział kwaśno. – Wszystko będzie w porządku, muszę tylko przyłożyć trochę lodu.

– Myślę, że przykładałeś go aż nadto, kiedy czołgałeś się do domu – powiedziała zsuwając mu kurtkę z ramion. – Dlaczego uważasz, że nie jest złamana?

– Bo boli jak cholera. Słuchaj, zabierz te ręce i idź się osuszyć. Nie potrzebuję tu żadnej samarytanki... auuu!

– Która kostka? – spytała zaczynając rozsznurowywać przemoczone buty.

– Ta, którą właśnie maltretujesz. – Usiadł chwiejąc się lekko i odepchnął jej ręce. – Dam radę zdjąć te cholerne buty. Jeśli tak bardzo chcesz pomóc, to przynieś mi coś do picia. Trochę whisky, butelka jest w szafce na lewo od kuchenki.

---

– Potrzebujesz raczej kawy - czegoś, co cię rozgrzeje.

– Dziękuję uprzejmie, whisky rozgrzeje mnie doskonale. Jeżeli masz jakieś dziwne religijne zastrzeżenia co do alkoholu, to możesz potem zamknąć się w łazience.

Podniosła się obrażona i podeszła sztywno do szafki. Butelka była tam, gdzie powiedział, wypełniona w trzech czwartych. Nałała oboju. W tym czasie jemu udało się podnieść. Nawet w przyćmionym świetle widziała, że twarz ma wykrzywioną z bólu. Wziął od niej szklankę i opróżnił ją jednym haustem.

– Lepiej znajdź sobie coś ciepłego i suchego do ubrania – powiedział. – Nie potrzebuję, żeby zapalenie płuc trzymało cię tutaj chociaż chwilę dłużej, niż potrwa sztorm. Na górze w szafce są jakieś ciuchy mojej siostry. Pewnie nie będą pasowały, ale lepsze to niż nic.

– A co z tobą?

Zawałał się, widać było, że niechętnie prosi ją o pomoc.

– Możesz mi też coś przynieść z góry, z sypialni. Zimno mi, a nie jestem pewien, czy dam radę tam się dostać.

– Aha – powiedziała Shannon. – Mięknie. Czy ja słyszałam „proszę”?

Zirytowany zamknął oczy. Widać było, że chce powiedzieć jej, żeby poszła do diabła.

– Proszę – powiedział.

– Naturalnie. Czy pomóc ci dostać się do pokoju?

– Poradzę sobie.

– Jaki samowystarczalny – powiedziała zjadliwie. – Jeżeli wszyscy Lockwoodowie są tacy, to nic dziwnego, że nie udawały wam się małżeństwa. Szkoda, że w ogóle próbujecie. Moglibyście chociaż oddać ludzkości przysługę i przestać się rozmnażać.

– Małżeństwo nie jest do tego warunkiem koniecznym – rzekł Patrick. – A mnie udało się uniknąć jednego i drugiego.

– Brawo. Zostawię cię samego, żebyś mógł sobie popełnić do pokoju bez żadnej widowni.

Patrzył jak odchodzi i uśmiechał się pomimo rozdzierającego bólu w prawej kostce. Ale z niej złościca, pomyślał. Nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek mógł mniej pasować do takiego mężczyzny jak on. I nie wyobrażał sobie, żeby mógł kogoś bardziej pragnąć. Zupełnie nieźle udało mu się to ukryć. Był zgorzkniały, niegościnnie i musiał tylko nadal tak się zachowywać, dopóki ten dziwny sztorm nie osłabnie, a ona ruszy w drogę, szukać tego przeklętego pudła i rodzinnej harmonii. Nie powinno mu to sprawiać trudności. Ta cholerna kostka bolała jak diabli, a sama obecność Shannon powodowała, że nerwy miał napięte do granic wytrzymałości.

Niewiele brakowało, a znowu by jej dotknął. Patrzyła na niego tymi cudownymi błękitnymi oczami, pełnymi nieufności, pogardy i zażenowania. Chociaż nie był zadufany w sobie, wiedział, że gdyby tylko jej dotknął, zażenowanie zniknęłoby. Ten dziwny magnetyzm między nimi był równie

silny, jak niezrozumiały. On zdawał sobie z tego sprawę, ona zaś nie. Będą bezpieczni tak długo, jak długo nie będzie zwracał uwagi na jej miękkie usta, przestanie myśleć o jej długich, pięknych włosach i o tym, jakie to uczucie, kiedy się ich dotyka, nie będzie snuł fantazji na temat jej ciała i tych nie kończących się nóg i jak one mogłyby owinać się wokół niego... Postawił ostrożnie stopę i ból w kostce od razu wymazał z niego te erotyczne fantazje. Cholernie dobrze się stało, że zniknęła. W obecnym stanie umysłu nie ufał do końca swojemu instynktowi samozachowawczemu. Gdyby pomogła mu się położyć na tej starej, przeładowanej sofie, to mógłby nie powstrzymać się przed przyciągnięciem jej do siebie. I Bóg jeden wie, co by się wtedy stało. Bóg wie i wie każdy, kto ma choć odrobinę rozsądku. Podskakiwał na jednej nodze, każde odbicie niemiłosiernie urażało spuchniętą kostkę, on zaś przyjmował ten ból z dużą przyjemnością. Przystań o niej myśleć, rozkazał sobie surowo. Ona jest dla ciebie za młoda, zbyt niewinna, bezinteresowna i tak cholernie namiętna. Namiętna, jeżeli chodzi o życie. Nie miał żadnych zastrzeżeń co do seksualnej namiętności, ale w swoim życiu starał się jednak zachować pewien dystans, pewne bariery. Przy niej wszelkie bariery pękały.

Opadł na sofę i na chwilę zamknął oczy. Co za okrutny kaprys losu zesłał ją na wyspę, wtrącił w jego prywatność, w jego życie, duszę? Powinien uwolnić się od niej i to jak najszybciej, zanim nie będzie w stanie pozwolić jej odejść.

Musiał się zdrzemnąć, bo kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył jej ręce, rozpinające mu koszulę. Chwytał jej małe dłonie w swoją jedną i popatrzył na nią wyzywająco. Miała na sobie stare ubranie jego siostry, workowate i o wiele za duże, ale przynajmniej wyglądało, że ogrzała się i jest sucha. Nie mógł tego powiedzieć o sobie. Był zziębnięty, wilgotny i lepki, pomimo ciepła płynącego od pieca.

– Shannon, czy ty naprawdę chcesz mnie rozebrać? – wycedził. Próbowwała wyrwać ręce, bez większego powodzenia.

– Nie chcę, żebyś dostał zapalenia płuc – rzuciła. – Pragnę wydostać się stąd najszybciej, jak to będzie możliwe, ale nie zostawię chorego bez opieki.

– Wierz mi, nawet gdybym znalazł się na łożu śmierci, to wciąż będę chciał, żebyś wyjechała – powiedział krzywiąc się.

– Dlaczego? – zapytała.

Nie spodziewał się, że zada takie pytanie. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Czyżby była aż tak ślepa na to, co działo się między nimi?

– Dlaczego? – powtórzyła.

Uniół się, wciąż ją trzymając, żeby nie mogła się uwolnić. Drugą rękę wsunął pod ciężką falę wciąż wilgotnych włosów i przyciągnął ją bliżej, tak blisko aż dotknął ustami jej miękkich warg. Smakował jej oddech, zapach whisky i kawy, i nagle przestraszył się pożądania z jej strony. Przecież zrobił to specjalnie, żeby wreszcie rozumiała. Mógł zaproponować jej seks, ale w jego cynicznym życiu nie było miejsca na romans. Z wielkim wysiłkiem

---

udało mu się przerwać pocałunek. Odsunął się trochę, tyle tylko, by móc spojrzeć w jej oczy.

– Właśnie dlatego – odrzekł stanowczo. Shannon miała zamglone spojrzenie.

– A cóż w tym złego? – spytała w końcu. Uwolnił jej ręce i z grymasem bólu przerzucił swoje nogi przez poręcz sofy.

– Co masz na myśli pytając, co w tym złego? Kobieta taka jak ty wierzy, że jest prawdziwa miłość, potem następuje małżeństwo i odtąd żyją długo i szczęśliwie aż do śmierci. A ja nie wierzę w nic.

– Nie wierzysz w miłość?

– Ani trochę. Według mnie są dwa rodzaje związku między mężczyzną i kobietą – przyjaźń oraz seks i one się wzajemnie wykluczają. Małżeństwo jest po prostu pewną umową o podłożu finansowym, a rozwód jej logicznym zakończeniem. Gdybyś przypadkiem nie rozumiała, o co mi chodzi, to chcę pójść z tobą do łóżka. Nawet bardzo, jeżeli już o tym mowa i to od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. Niestety, problem w tym, że cię polubiłem. Jesteś bystra, wierna, zabawna. Nie sądzę, żebyś czuła się dobrze w sytuacji, gdy tak mało mógłbym ci zaoferować. Jestem dla ciebie za stary, za stary jeśli chodzi o wiek i za stary życiowym doświadczeniem.

Nie miał pojęcia, o czym teraz myślała. Po prostu popatrzyła na niego przez chwilę tymi cudownymi, błękitnymi oczami.

– Ale przemówienie, mecenasie – powiedziała w końcu. – Długo nad tym pracowałaś? A może zawsze próbujesz tego z kobietami, żeby zobaczyć, jak działa?

– Co to za bzdury?

– Żadna kobieta nie oprze się wyzwaniu. Każda pomyśli, że ona mogłaby zostać tą jedyną, która nauczy cię, co to znaczy kochać. Pokaże ci, że można żyć razem długo i szczęśliwie.

– Czy to znaczy, że chcesz spróbować?

– O nie. Wiem, kiedy sprawa jest przegrana.

– To dobrze, ponieważ nigdy nie sypiam z kobietami, które dokładnie nie zdają sobie sprawy, o co mi chodzi, i nie mam zamiaru teraz zaczynać. Jesteś bardzo pociągająca, ale będę trzymał ręce z dala od ciebie i tobie też to radzę.

– Boisz się, że możesz zmienić zdanie?

– Nie – odparł. – Jestem starszy i rozsądniejszy od ciebie. Boję się, że ty możesz zmienić swoje.

– Mało prawdopodobne, dziadku – powiedziała podnosząc się z podłogi i uśmiechając dziwnie. – Puszczę ci wodę do wanny. Weź kąpiel, a ja popatrzę, co można by zrobić do jedzenia.

– Sam się mogę sobą zająć...

– Daj spokój – przerwała. – Muszę sobie coś ugotować i nie chcę, żebyś mi kuśtykał po kuchni i włąził w drogę. Raz dla odmiany przyjmij pomoc, to nie splami twojego honoru.



Odwróciła się i poszła do kuchni, nie czekając na odpowiedź. I dobrze się stało, bo dopiero przy trzeciej próbie udało mu się podnieść na nogi, a kiedy dotarł do łazienki, bał się, że zwymiotuje. W środku było pełno pary i wyczuwał w powietrzu lekką nutę zapachu jej perfum. Pokuśtykał do okna, wyjrzał i zobaczył, że szalejąca burza nie osłabła.

– Boże, jak możesz mi robić coś takiego? – powiedział głośno. Nie było żadnej odpowiedzi poza skowyt wiatru.

---

## ROZDZIAŁ 4

- Ależ on jest uparty – zauważył Eros.
- A ja raczej go lubię.
- Dlatego, że on uważa ciebie za Boga.
- Błuznierstwo – powiedział święty Walenty bez specjalnego nacisku. Po szesnastu stuleciach przyzwyczał się, że Eros próbuje go podpuszczać. – Tak się składa, że go lubię, ponieważ ma poczucie honoru, nawet jeżeli nie zdaje sobie z tego sprawy. Wzbrania się wykorzystać Shannon, chociaż wie, że ona dałaby się skusić.
- Ale tylko jemu – poprawił Eros. – Wiesz równie dobrze jak ja, że jej doświadczenie seksualne jest prawie żadne i tak naprawdę po raz pierwszy wodzona jest na pokuszenie.
- Patrick o tym wie i wielkodusznie z niej rezygnuje.
- Prawdziwy święty – powiedział Eros z krzywym uśmiechem.
- On może dać jej dokładnie to, czego ona potrzebuje i chciałbym wkrótce zobaczyć, że to robi. Szlachetność to bardzo dobra rzecz, ale nie mamy wiele czasu.
- Co masz na myśli? – spytał Walenty wyraźnie zaskoczony.
- Dzisiaj jest trzynasty lutego. Mieliśmy zajmować się tymi dwoma gołąbeczkami do czternastego lutego, a umowa jest umową. A jeśli już o tym mówimy, to dlaczego zwichnąłeś mu nogę? Jeżeli myślisz, że to powstrzyma go od wkładania rąk pod jej spódnicę, to znaczy, że w ogóle go nie znasz.
- Ona nie nosi spódnicy – zaznaczył Walenty spoglądając na Erosa z dezaprobatą. – Myślałem, że to może posunąć sprawę do przodu. Ona jest taką dziewczyną, która lubi opiekować się innymi, więc chciałem, żeby pozajmowała się nim trochę. Daję jej czas, by zdała sobie sprawę ze swoich uczuć.
- Ty już całkiem straciłeś kontakt z rzeczywistością – powiedział Eros wzdychając głęboko. – Po pierwsze ona jest kobietą, a nie dziewczyną. Po

drugie – i tak zbyt wiele czasu w życiu straciła na opiekowanie się mężczyznami. Potrzebuje kogoś, kto w zamian zatroszczy się o nią, a nie jakiegos fujarę, któremu trzeba matkować.

– Pozwól mi to robić tak, jak ja uważam...

– Niech mnie diabli, jeżeli ci pozwolę. Twoje wysiłki żałośnie zawiodły. Teraz przyszedł czas na hormony. Sprawię, że dziś w nocy oni znajdą się razem w łóżku.

– Za wcześniej – zaprotestował Walenty. – Prawie się nie znają.

– Wkrótce będzie za późno. Ej, rozchmurz się. Mamy tu miłość od pierwszego wejrzenia, teraz i na wieki wieków amen. Oni są stworzeni dla siebie.

– Ależ oni są zupełnie różni!

– Są dla siebie stworzeni – powtórzył Eros stanowczo. – I mam zamiar dopilnować, by zdali sobie z tego sprawę. Dość już tych twoich podchodów. Przyszła pora na prawdziwe działanie.

Czuł zapach kawy. Czuł coś wspaniałego, chyba befsztyk. Słyszał ją, nucącą coś pod nosem, kiedy leżał tak w wannie i myślał o niej. I w końcu usłyszał jak klnie, głośno i dosadnie, kiedy prąd znów wysiadł, jeszcze raz pogrążając dom w ciemnościach. Też zaczął kłać ubierając się po ciemku i słuchając wyjącego na dworze wiatru. O mało nie wybił głową okna, gdy usiłował wciągnąć džinsy i musiał oprzeć się o ścianę, żeby włożyć podkoszulek przez głowę. Po wyjściu z łazienki zobaczył poświatę padającą z kuchni, czuł ciepło dochodzące z rozpalonego pieca. Okazała się nadszpiezwanie samodzielna w radzeniu sobie w tym nie najlepiej wyposażonym gospodarstwie. Jakoś go to drażniło.

– Pomóc ci? – zawołał, balansując na jednej nodze.

– Nie – odpowiedziała ukazując się w drzwiach kuchni ze świeczką, która oświetlała jej zarumienioną twarz. – Czy jest jakaś szansa, że generator sam się włączy?

– Obawiam się, że nie. Musiałbym tam pójść i pogrzebać przy nim. Może gdy wiatr osłabnie...

– Może nie. Nie mam ochoty ganiać w tej burzy i szukać, gdzie tym razem się poczołgałeś. Jest pełno świeczek. Będziesz musiał po prostu pogodzić się z taką romantyczną atmosferą.

Widział w jej oczach rozbawienie i to go złościło. Specjalnie okazywał zły humor, tak było bezpieczniej, chociaż przez chwilę kusilo go, by pokazać, jak wiele wysiłku go to kosztuje. Jeżeli ona myśli, że może sobie bezkarnie z niego kpić, jeżeli sądzi, że on nie zareaguje, to będzie musiał... Nie, nic nie musi. Chciałby mieć ją na górze, w tym staroświeckim łóżku, które dźwigało tyle nieszczęśliwych par małżeńskich w historii rodziny, ale tego nie robi. Takie historie zawsze źle się kończą. Im mocniejszy pociąg, im bardziej wydaje się ludziom, że są zakochani, tym boleśniejsza jest nieuchronna katastrofa. To nie to, że on jest tak naiwny i myśli, że miłość ma tu

---

cokolwiek do rzeczy. Ale kobiety, szczególnie romantyczne młode kobiety, jak Shannon Donnelly, mają skłonność do popełniania takich błędów. Dlatego właśnie musiał pozbyć się jej za wszelką cenę z tej wyspy. Nawet gdyby miał sam przewieźć ją łodzią na stały ląd podczas burzy. Mężczyzna potrafi zrobić bardzo wiele, jeżeli zagrożony jest jego spokój.

– A więc, dlaczego tu przyplłynęłaś? – zapytał z premedytacją. Świetnie wiedział, jak zepchnąć kogoś do defensywy, w końcu na tym polegała jego praca.

Oparła się o futrynę i patrzyła na niego tymi swoimi spokojnymi, pięknymi oczami.

– Wiesz równie dobrze jak ja. Żeby odebrać chińską układankę. Harold powiedział, że chce ją oddać i ...

– Nie to miałem na myśli. Dlaczego ty? Dlaczego nie twoja siostra, jeżeli jej na tym tak zależy? Nie wydaje mi się, żebyś bardzo przejmowała się tym głupim pudłem. Dlaczego nie któryś z tych dryblasów, waszych braci albo nawet rodzice? Dlaczego akurat ty?

– Czy jesteś na tyle próżny, żeby sądzić, że skusiła mnie szansa ponownego ujżenia ciebie?

– Wręcz przeciwnie. Podejrzewam, że broniłaś się rękami i nogami – powiedział patrząc, jak rumieniec zdradza słusność jego przypadkowego domysłu. – Chciałbym wiedzieć, dlaczego zostałaś obarczona tym szczególnie zadaniem.

– Tylko ja mam wolny zawód...

– To za mało. Przecież jest weekend.

– Może jako jedyna z całej rodziny nie przyłożyłabym ci w nos? – podsunęła.

– Pudło. Sądzę, że zrobiłabyś to z przyjemnością.

– Wcale nie – powiedziała cicho.

Pomyślał, że rozmowa wcale nie zdążyła w tym kierunku, w jakim by chciał. Im bardziej próbował z nią walczyć, tym bardziej coś go do niej ciągnęło, nie zważając na jego najlepsze, a właściwie najgorsze, wysiłki.

– Spróbuj jeszcze raz – zaproponował chłodno. – Dlaczego się tutaj znalazłaś?

– Jeżeli jesteś taki mądry, to sam mi powiedz.

Próbowała mówić równie zimno jak on, ale daleko jej było do niego w ukrywaniu prawdziwych uczuć. Stała w drzwiach, miękka i wrażliwa, a on zastanawiał się, jak bardzo musi ją zranić, żeby odeszła.

– Przyjechałaś tutaj, ponieważ przez całe życie troszczysz się o innych i pozwalasz im się wykorzystywać nie patrząc, ile cię to kosztuje, nie zważając na własne potrzeby.

– To nie twój cholerny interes, jakie są moje własne potrzeby – odpaliła.

– Masz rację i niech tak będzie nadal.

– Dlaczego tak próbujesz mnie odstraszyć? Boisz się, że mogę za bardzo do ciebie się zbliżyć? A co z twoimi potrzebami? Nie masz żadnych? –

spytała bez gniewu.

– Dzięki, sam potrafię zadbać o moje potrzeby.

– Twoja strata – powiedziała wrzuszając ramionami. – Czy to znaczy, że nie chcesz befsztyka?

Nic nie skutkowało. Czuł, że narasta w nim złość.

– Chyba powinnaś mnie nienawidzić.

– Szczerze mówiąc, próbuję. Ale nie najlepiej mi w tym pomagasz – odparła i zniknęła w kuchni.

Gdyby tylko nie umiała gotować, pomyślał później, najedzony, rozleniwiony i na wpół uwiedziony kombinacją światła świec, butelki czerwonego wina, jaką wygrzebała z kredensu, i kawy, przy której jego napój smakował jak pomyje. Gdyby tylko nie bawiła go tak swym poczuciem humoru. Gdyby tylko nie była tak cholernie słodka.

– Wiesz co? – powiedziała sadowiac się wygodnie na krześle, z kubkiem kawy w swych pięknych dłoniach. – Obawiam się, że mimo wszystko cię lubię.

Obserwował ją leżąc wyciągnięty na sofie, z nogą położoną na oparciu.

– Fatalny błąd – zauważył, wciąż mając ochotę na papierosa. – Może mam pewien urok, ale tak naprawdę nie jestem za bardzo sympatyczny.

– Nie zauważyłam specjalnych objawów tego twojego słynnego wdzięku – powiedziała śmiejąc się. – Od kiedy się tu zjawiłam, nie robisz nic innego, tylko na mnie warczysz.

– Bo mam powód – odparł.

– Ach, tak? A jaki?

– Też cię lubię.

Powinna była się przestraszyć, ale zamiast tego wyglądała na zadowoloną.

– I w czym tu problem?

– Myślałem, że już ci to dokładnie wyjaśniłem. Mogę albo cię lubić, albo spać z tobą. Kobiety zwykle myślą, że możliwe są te obie rzeczy na raz, ja zaś wiem, że tak nie jest.

Jeżeli miał nadzieję, że się obrazi, to musiał się zawieść. Zareagowała z udawanym zainteresowaniem, niezupełnie maskującym ten jej przekłety humor.

– A więc kiedy prześpisz się z kobietą, to przestajesz ją lubić? Ale to pokrętne. Ty chyba masz straszne kompleksy, jeżeli uważasz, że osoba, która mogłaby się w tobie zakochać, musi być niesympatyczna.

Nie złapał się na taką przynętę.

– Tego nie powiedziałem – odparł popijając łyk kawy. – Uważam tylko, że nie ma miejsca na przyjaźń tam, gdzie chodzi o seks.

– W takim razie zaczynacie jako przyjaciele, a kończycie jako... co? Wrogowie? Kochankowie? Obcy?

– To zależy od kobiety – powiedział. – Ale tak naprawdę, to nie popełniam takich błędów, żeby uwodzić kobiety, z którymi jestem w przyjaźni. O wiele lepiej jest, kiedy te dwie sprawy są oddzielone.

---

– A co się zdarzyło, kiedy ostatni raz taka przyjaźń zamieniła się w romans? – spytała, nie potrafiąc ukryć zaciekawienia.

Roześmiał się.

– Ja nigdy nie miewam romansów. Jeżeli pytasz, co się stało, kiedy ostatni raz popełniłem błąd i przespałem się z przyjaciółką, to... – I nagle Patrick Lockwood – mężczyzna, który swą sławę i okazałą fortunę zawdzięczał swej elokwencji, zapomniał języka w gębie. Spojrzał na Shannon, która obserwowała go z napięciem, i nie mógł nie powiedzieć prawdy. – Chyba nigdy tak się nie zdarzyło.

Był ciekawy, jak ona na to zareaguje. Czy może głupio zauważy, że zawsze musi być ten pierwszy raz. Ale nic takiego nie powiedziała, popatrzyła tylko na niego wzrokiem, w którym wyczytał ostrożność. Czuł, że to samo dzieje się w jej duszy.

– Prawnicy są przewidujący – zauważyła.

– Nie jestem już prawnikiem. Zajmuję się naprawą łodzi.

– To był krok we właściwym kierunku – przyznała wstając. – Dolać ci kawy?

– Nie, nie chcę, żeby mi usługiwano.

– Wiesz co, myślałam, że to jest właśnie dokładnie to, co lubisz – odparła.

– Miejsce kobiety jest w kuchni i tak dalej.

– Wiesz co, potrafisz być bardzo denerwująca.

– Staram się jak mogę.

– Zdaję sobie sprawę. Próbujesz przerobić mnie na kogoś takiego jak Ted Jensen albo Paul Miller.

Shannon zbladła i aż przysiadła z wrażenia.

– Skąd o nich wiesz?

– Harold Rasmussen lubi dużo mówić – powiedział, stawiając kubek po kawie na stole. – W końcu przez pięć lat był mężem twojej siostry i zdążył dość dobrze cię poznać.

– Harold nie jest plotkarzem – odparła rumieniąc się.

– To prawda. Ale nie jest żadnym przeciwnikiem dla adwokata, który wie, jak podejść swojego rozmówcę.

To wystraszyło ją jeszcze bardziej.

– Pytałeś go o mnie? Dlaczego?

– Przypuszczam, że z ciekawości – odpowiedział wzruszając ramionami. – Połączonej z irracjonalnym pożądaniem. Chciałem dowiedzieć się, czy należysz do tych kobiet, które mają ochotę na przelotną przygodę, bez żadnych zobowiązań.

– No i czego się dowiedziałeś?

– Że nie miałem szczęścia. Według Harolda ty wynajdujesz zniewieściałych mężczyzn, którym trzeba matkować, i nie idziesz z nimi do łóżka. Zamiast tego pozwalasz wykorzystywać się emocjonalnie i finansowo i powtarzasz ten błąd raz za razem.

– Trafiłeś w samo sedno – powiedziała zimnym, napiętym głosem. – A

więc zdecydowałeś, że nie ma co ze mną zaczynać?

– Niezupełnie. Nie należę do tych, co łatwo godzą się z porażką. Uznałem, że potrzebujesz bohatera, mężczyzny, na którym można się oprzeć, a nie kogoś, kto szuka mamusi, żeby się wypłakać. Ale ja nie jestem tym mężczyzną.

– Amen.

Teraz z kolei on okazał rozbawienie.

– Zawsze mogę zmienić zdanie – powiedział. – I zawsze mogę zmienić twoje.

– Wybij to sobie z głowy. Mówiłam już, że cię lubię, nawet jeśli zdrowy rozsądek podpowiada mi inaczej. Bardzo jasno wytłumaczyłeś swoje stanowisko – albo seks, albo przyjaźń. Niewielu jest mężczyzn, których naprawdę lubię, zaś nietrudno byłoby mi znaleźć kogoś zainteresowanego „przygodą”.

– Wyobrażam sobie, że nietrudno.

– Więc niech zostanie tak, jak jest – zakończyła szybko, wzięła naczynia ze stołu i wyszła.

– Bardzo mądrze – powiedział do siebie, próbując utwierdzić się w swoim postanowieniu. Zastanawiał się jedynie, czy będzie musiał wziąć zimny prysznic, aby przeżyć jakoś tę nieszczęsną, mroźną noc.

– Piekło i szatani! – Eros aż podskakiwał z wściekłości.

– Przestań bluźnić – powiedział Walenty, nie potrafiąc zapanować nad zadowoleniem. – Czy nie mówiłem ci, że seks nie jest lekarstwem na wszystko? Tych dwoje ma zbyt wiele zdrowego rozsądku, aby zacząć dokazywać...

– Gdybyś nie zwichnął mu nogi, to może by wykazał więcej energii – przerwał Eros. – Nie mogę uwierzyć, że mężczyzna z takim życiorysem jak Lockwood, może nagle stać się ciamajdą.

– On nie jest ciamajdą, tylko okazuje chwalebłą powściągliwość – rzekł Walenty surowo.

– Jeżeli okaże jej jeszcze trochę, to obaj przegramy.

– Jakoś to przeżyję – powiedział Walenty bez przekonania.

– A więc Lockwood i Shannon rozstaną się i prawdopodobnie nie zobaczą się już nigdy. Wiesz, co to znaczy? To znaczy, że przez resztę życia będą nieszczęśliwi. Może z kimś się zwiążą i wtedy unieszczęśliwią swoich współmałżonków, swoje dzieci i wnuki...

– Kupid, przestań już – sarknął Walenty. – Nie jesteśmy odpowiedzialni za cały świat.

– Czasami cały świat sprowadza się do dwojga ludzi, którzy są dla siebie stworzeni, nawet jeżeli żadne z nich nie chce tego przyznać.

– Znowu zaczynasz być romantyczny. Chyba za bardzo wzięłeś sobie do serca tę przegraną.

– Tu nie będzie przegranej – warknął Eros.

---

– Ja chyba wyszedłem z wprawy – powiedział Walenty potrząsając głową.  
– Nie mogę już ufać swoim umiejętnościom po tym, kiedy siostra Shannon się rozwiodła.

– Wiem, o co ci chodzi. – Głos Erosa wyraźnie złagodniał. – Mnie też to bolało. Dlatego teraz nie możemy przestać.

– Ale co...?

– Nie wiem. Wiem tylko, że Patrick Lockwood pójdzie dzisiejszej nocy do łóżka z Shannon Donnelly.

– Tu nie chodzi o zwierzęcą żądzę – powiedział Walenty z dezaprobatą.

– Ale może ona będzie rozwiązaniem. Z drogi, staruszku. Mam robotę.

Kiedy Shannon znalazła się w kuchni, musiała oprzeć się o ścianę i, cała drżąc, odetchnęła głęboko. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezbronna. Myślała, że może pójść po tę układankę i wciąż go nienawidzić. Ten jego parszawy zły humor powinien być ułatwić sprawę. Ale to właśnie uczyniło go zwykłym człowiekiem, bardziej przystępnym i, co wydawało się niemożliwe, jeszcze bardziej atrakcyjnym. Teraz, kiedy byli tu uwięzieni, sytuacja stała się jeszcze gorsza. Siła żywiołów mieszała się z napięciem panującym między nimi, a kieliszek wina, na który sobie pozwoliła, wcale nie podzialał uspokajająco. Przebywanie w pobliżu Patricka było chyba najniebezpieczniejszą rzeczą, jaką w życiu zrobiła.

Miała ochotę ukryć się w kuchni. Miała ochotę wpełznąć pod stół i trzymać się jak najdalej od Lockwooda. Nigdy jeszcze nie zalewało jej tyle przeróżnych uczuć – od czułości, zmartwienia po nieodparte pragnienie. Pragnęła go jak jeszcze nikogo przedtem i to wydawało się jej całkowicie irracjonalne. Ale nie mogła już się tego wyprzeć. Słyszała w głowie jakiś głos, miękki i czarujący, który mówił jej, żeby poszła do Patricka. I zaraz odzywał się drugi głos – wyobrażała sobie, że to jej sumienie, który nakazywał ostrożność. Głos sumienia był starszy i gderliwy. Potrząsnęła głową usiłując odegnąć te dziwaczne fantazje. Okazało się, że nawet jeden kieliszek wina to za dużo. Nie ma zamiaru iść do łóżka z Lockwoodem. Historia jej życia seksualnego była krótka i niezbyt przyjemna, a ona sama nie należała do osób, które poddają się biologicznym popędom, nieważne jak przemożnym. Zwłaszcza że nie jest nawet pewna, czy lubi tego mężczyznę. Ale za to zakochała się w nim. Mówił jej to ten głupi głosik, a ona tym razem nie wiedziała czy to sumienie, czy też jej słabsze, bardziej lubieżne ja. Przecież nie mogłaby zakochać się w kimś takim. Czy mogłaby? Przystań słuchać tego głosu, powiedziała sobie. Rób to, co ci nakazuje sumienie. Nie poddasz się tak niskim instynktom, jakich wcześniej nawet nie odczuwałaś. Pomożesz mu pójść na górę, a potem zamkniesz się na klucz, zamykając przy okazji hormony. Nie pójdziesz z nim do łóżka.

Nie pójdziesz z nią do łóżka, powiedział sobie surowo Patrick siedząc wyprostowany na sofie. I nie jest ważne jak bardzo byś tego chciał. Słuchaj swojego sumienia, tego mądrego starego człowieka, który mówi ci, żebyś



choć raz w całym swoim życiu zachował się jak człowiek przyzwoity. Ty nie wierzysz, że można żyć razem długo i szczęśliwie, zaś ona tak. Złamiesz jej serce, więc jeśli naprawdę pragniesz jej dobra, to zostawisz ją w spokoju. Ale dlaczego miałbyś chcieć jej dobra? Przecież ledwo ją zna, a nie jest człowiekiem, który by troszczył się o wszystko i wszystkich. Umysłnie wybrał takie właśnie życie, nie pozwalając nikomu zbliżyć się do siebie, z jedynym wyjątkiem – swojej siostry i jej dzieci.

Oczywiście! Tego właśnie Shannon potrzebuje, żeby nie musiała szukać mężczyzn, którzy byliby od niej zależni. Ona powinna znaleźć prawdziwego mężczyznę, stojącego na własnych nogach, kogoś kto będzie ją kochał i da jej dzieci, a on nie jest tym mężczyzną, do cholery! Dlaczego wciąż ma nadzieję, że mógłby być? Nie pójdzie z nią do łóżka. Pokuśtyka na górę, zamknie za sobą drzwi na klucz i będzie miał nadzieję, że ona jest na tyle mądra, żeby trzymać się z daleka. Inaczej on może posłuchać tego głosiku, który przez cały czas mówi, żeby ją wziąć, a zignoruje surowy głos sumienia.

Nie pójdzie z nią do łóżka. Nie może pójść.

Pojawiła się w kuchennych drzwiach. Włosy miała potargane, oczy szeroko otwarte i wyczekujące.

– Co mam zrobić z ogniem?

– Nic, tutaj już dołożyłem – odpowiedział. – Zgaś tylko wszystkie świece i możemy pójść na górę. Na piętrze jest pokój gościnny, chyba że wolisz spać tutaj na kanapie.

Nie można było nie zauważyć ulgi na jej twarzy.

– Wszystko mi jedno. Czy pomóc ci wejść po schodach?

– Nie – odparł ostro.

Pokuśtykał w stronę schodów, po cichu przeklinając swoją kostkę. Gdyby nie ten śmieszny wypadek, bardziej panowałby nad sobą. Miałby elektryczność, a nie to cholerne, nastrojowe światło świec. Nie kusiłoby go, żeby chwycić ją w ramiona i zanurzyć ręce w te długie, gęste włosy.

To stało się w połowie schodów. Nie było powodu, żeby się potknąć, żadnego powodu, ale on to zrobił, uderzył kolanem o stopień, rąbnął się w głowę. Klął, kiedy pędziła do niego po schodach, chciał ją odepchnąć, ale bał się, że straci ją w dół, więc powiedział sobie, że nie ma wyboru i oparł się o nią wdychając jej zapach, godząc się z tym, że jego kostka nie jest najsztwniejszą, najbardziej bolesną częścią jego ciała. Potykając się weszli do sypialni, gdzie wziął ją w objęcia, a ona oparła się plecami o drzwi. I znowu te dwa przekłete głosy w jego głowie zaczęły coś paplać, więc żeby je zagłuszyć pochylił się i pocałował ją. Pocałunek miał smak kawy, wina i nieba na ziemi. W chwili, kiedy dotknął jej ust, poczuł, że jest zgubiony. Nic nie mogło go zatrzymać, ani zdrowy rozsądek, ani instynkt samozachowawczy, ani nawet samokontrola, którą tak zawsze u siebie cenił. Gładził jej gęste, kasztanowe włosy, tak jak to tylekroć robił w fantazjach, i miał uczucie, jakby jedwab przepływał mu przez palce. Głaskał policzki,

---

całował nos i powieki, i mały pieprzyk nad górną wargą.

– To szaleństwo – powiedział z rękami zanurzonymi w jej włosach.

– Szaleństwo – powtórzyła, obejmując go rękami.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy – szepnęła z ustami tuż przy jej twarzy. – Ale boję się, że będę musiał.

– Zaryzykuję – odpowiedziała i pocałowała go.

Usta miała miękkie, wilgotne, rozchylone. Nie czuł wcale bólu w kostce, kiedy prowadził ją w stronę starego, wysokiego łóżka. Położył ją na nim, przez cały czas nie mając dość jej ust, słodkich, głodnych ust.

Drżące ręce wślizgnęły się niezdarnie pod jego podkoszulek i trwało chwilę, zanim przypomniał sobie, że przecież ona nie miała zbyt wielu doświadczeń. A i te nieliczne najwidoczniej nie były przyjemne. Zachowywała się nerwowo, gorączkowo, jakby oczekiwała, że on zrobi to szybko. Ale właśnie tego życzenia nie miał zamiaru spełnić. Złapał ją za ręce i przycisnął do łóżka, przygniótł jej wijące się ciało. Uspokoiła się, choć widział, że oczy ma wielkie i ostrożne.

– Rozmyśliłeś się? – spytała ledwo słyszalnym głosem.

– Czy tak to wygląda? – odpowiedział pytaniem, napierając na nią biodrami. Nawet przy takim świetle zobaczył, że się zarumieniła. Boże, ależ ona jest niewinna! Poczul się jak najgorszy lubieżnik – gdyby był przyzwoitym człowiekiem, to zsunąłby się z niej i pozwoił jej odejść. Ale daleko mu było do przyzwoitego człowieka. Nie chciał słuchać głosu w swojej głowie, wołał dać posłuch głosowi, który tętnił w jego żyłach.

– To dlaczego się zatrzymałeś? – zapytała, leżąc pod nim bardzo spokojnie.

Miała na sobie starą koszulę jego siostry, która kiedyś należała do niego i była zapinana z przodu na guziki na całej długości. Już cieszył się na myśl, że będzie je wszystkie odpinał. Powoli.

– Mamy mnóstwo czasu – powiedział. – Nie ma po co się spieszyć, prawda?

Nie odpowiedziała, ale widział niepewność w jej oczach. Lubieżnik, powiedział do siebie, ale nadal się nie poruszył.

– Prawda? – zapytał jeszcze raz pochylając się i dotykając kącika jej ust czubkiem języka.

– Tak – odparła głosem niewiele głośniejszym od westchnienia, drżąc w jego ramionach, ale przygarniając go do siebie jak najbliżej w niemej prośbie.

– Nie będziemy się spieszyć – powiedział głosem brzmiącym ochryple w ciemności. – Oboje wiemy, że nie powinniśmy tego robić, ale tak czy owak to zrobimy. Więc równie dobrze możemy zrobić to jak najlepiej.

– Nie rozumiem.

Wtedy uśmiechnął się i w jednej chwili zniknęły wszystkie wątpliwości, zasady i żale.

– Pokażę ci – odpowiedział przyciskając usta do jej szyi.

## ROZDZIAŁ 5

Bała się. Nie powinna się bać, nie była przecież tak zupełnie niedoświadczona ani nie sądziła, że on może zrobić jej krzywdę. Nie bała się jego. Bała się siebie, tak samotnej w ciemności. Bała się, że go rozczaruje. Bała się, że on ją rozczaruje. Bała się, że to, co miało być tak wyjątkowe, tak zdumiewające, w rzeczywistości będzie zwyczajne i brudne. Jeżeli z nim nie będzie nadzwyczajnie, to znaczy, że już nigdy nie będzie, ponieważ on działał na nią o wiele bardziej niż ktokolwiek kiedykolwiek w całym jej życiu.

I zarazem bała się, że będzie właśnie tak, jak sobie wymarzyła, że zrozumie, dlaczego ludzie robią wokół tego tyle zamieszania. Że będzie kochała tego mężczyznę, będzie kochała się z nim, a on okaże się dokładnie taki, jak o sobie mówił – zimny, cyniczny i daleki. A wtedy będzie zgubiona. Ale już i tak była zgubiona, gdy czuła ciepłe wargi ześlizgujące się powoli w dół po jej szyi. Uwolnił jej ręce, by móc rozpinąć guziki luźnej koszuli, a usta podążyły za dłońmi i całowały obnażoną skórę. Wreszcie zsunął z niej koszulę i przykrył ustami koronkowy skrawek stanika, którego na dobrą sprawę właściwie nie potrzebowała. Na dworze wiatr wył, okna stukwały, w środku było ciemno, ciepło i niebezpiecznie. Zdjął swoją koszulę przez głowę i rzucił tak, że poszybowała przez cały pokój. Rozpiął jej dżinsy i zaczął zdejmować, a ona pozwoliła mu na to, chcąc poczuć, jak jego gorące, twarde ciało przyciska ją mocno.

– Powiedz mi, co lubisz – odezwał się cichym głosem, brmiącym uwodzicielsko w ciemności. – Czy lubisz tak? – Przykrył jej piersi dłońmi, a jego palce poruszały się wprawnie i podniecająco. – Albo tak? – Za rękami podążyły usta, dotykały jej powoli, leniwie, ujmując czubek piersi i wodząc po nim językiem, aż wygięła się na łóżku.

– Tak – wyszeptwała. Jej głos urósł do krzyku, kiedy zrobił to samo z drugą piersią. – Tak!

---

– To dobrze – wyszeptał nie odrywając od niej ust. – Bo ja lubię to robić.

Jego ręce powędrowały wzdłuż jej ciała, zręczne ręce artysty, ujmowały ją w pasie, poznawały kształt bioder, podczas gdy usta posuwały się w dół całując, liżąc, smakując. Drżała i kręciła się w jego ramionach. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego podniecenia i obawiała się, że może ono ulotnić się, jeżeli potrwa zbyt długo, obawiała się, że straci ten ogień, ten żar pożądania, który smaga jej ciało. Zdjął spodnie, nawet nie zauważyła kiedy i czuła teraz, że jest gorący, twardy i gotowy. Sięgnęła w dół i dotknęła go. Był wilgotny, więcej niż gotowy i nie wiedziała, co go wstrzymuje.

– Pragnę cię – powiedziała przesuwając ręce w górę, by chwycić go za ramiona.

– Naprawdę? – szepnęła w odpowiedzi, ignorując jej wysiłki. – Ale myślę, że możesz pragnąć mnie jeszcze bardziej. – Wargami przejechał po wrażliwej skórze na brzuchu, a przez całe jej ciało przebiegł dreszcz.

– Potrzebuję cię – powiedziała rozpaczliwie, poruszając się w tył i w przód.

– Wiem – odparł ujmując rękami jej biodra. – Tylko jeszcze nie wiesz, jak bardzo. – I zanurzył się w nią ustami. Wygięła się w łuk ze stłumionym krzykiem, wbijając palce w koldrę, na której leżała. Nie chciała tego. To było zbyt intymne, zbyt przyjemne, za bardzo, za bardzo... Pierwsza fala, pierwszy skurcz zaskoczył ją i przeraził tak bardzo, że próbowała wstrzymać tę reakcję.

– Nie uda ci się tego zwalczyć – powiedział podnosząc głowę i patrząc na nią z uśmiechem, ledwo widocznym w słabym blasku.

– Już! – zawołała napiętym głosem, szarpiąc go za ramiona, przyciągając do siebie. – Już!

– Panno Donnelly, ale z pani jest wymagająca kobieta – mruknął kłękając pomiędzy jej udami. – Ale nie będziemy robić wszystkiego tak, jak ty chcesz.

Czuła, że jest gorący i pulsujący, cała spięła się w oczekiwaniu na jego wejście. Ale naciskał tak powoli i pewnie, że nie czuła żadnego bólu, jedynie wspaniałe uczucie wypełnienia. Objęła go ramionami i nogami, przygotowała się, by zmusić go do spełnienia, ale popchnął ją w dół przycinając udami i biorąc twarz w dłonie z niezrównaną delikatnością.

– Nie ma pośpiechu – odezwał się znów, głosem wstrząsanym śmiechem i pożądaniem – Będzie o wiele lepiej, jeżeli nie będziemy się spieszyć.

I zaczął znów ją całować – wargami, językiem, zębami. Całował z takim zapamiętaniem, że wydawało jej się, iż cała wrażliwość umiejscowiła się w ustach, sercu, żyłach. Zaczął poruszać się w niej popychając i cofając pewnymi, kołyszącymi ruchami, a ona wbiła w niego paznokcie próbując go popędzać. Jednak on wciąż robił to powoli, zmysłowo, kontrolując wszystko, biorąc ją stopniowo do swojego wymiaru, do swojego spokoju. Nie mogła zmusić go do szybkiego zakończenia, nie mogła zrobić nic, oprócz podążania za nim, nie pamiętając o niczym. Ich ciała kołysały się razem we

wszecmogarniającym, prastarym rytmie, w którym nie istniał czas.

Przestała myśleć, przestała go popędzać. Całowała go powoli, leniwie, jej biodra bez pośpiechu unosiły się na spotkanie z nim. W tej zupełnie ciemnej, bezkresnej, aksamitnej nocy nie było nikogo, kto by o nich wiedział, nikogo, kto by ich słyszał. Było ciepło, wilgotno i tajemniczo, a Shannon zapragnęła, żeby to nigdy się nie skończyło, żeby tkwili w tej ciemności, owinięci nią jak miękką zasłoną, która dawała im bezpieczeństwo. Nie było żadnego ostrzeżenia. Kiedy to uderzyło, była zgubiona i nie mogła opanować reakcji. Jej ciałem wstrząsały spazmy i coś krzyczała, sama nie wiedząc co, wbijając paznokcie w jego pokryte potem ramiona. Jego ciało zeszywniało, gdy podążał za nią tą ciemną ścieżką, a ona znów krzyknęła, drżąc w jego objęciach. Długo trwało zanim zwolniła uścisk. On wrócił do przytomności chwilę wcześniej i dotknął ustami jej wilgotnych powiek, drżących warg.

– Prawda, że jest lepiej, kiedy się nie spieszy? – spytał z cichym śmiechem wibrującym w głosie.

– O wiele lepiej – zgodziła się, a jej głos był jak cieniutka niteczka.

– I o wiele lepiej, kiedy się nie stara nad tym panować. – Całował jej policzek, a ona przekręciła głowę szukając jego warg. Jej własne zdawały się być opuchnięte, nadwrażliwe i wciąż głodne.

– O wiele lepiej – powtórzyła.

– Podoba mi się sposób, w jaki krzyczałaś.

Nie przypuszczała, że może jeszcze się zarumienić.

– Dobrze, że nikt nie mógł mnie słyszeć.

– Nikt, kto by tego nie docenił. – Jego ręce odgarniały włosy z jej rozpalonej twarzy. – Zawsze jesteś tak hałaśliwa?

– Nie wiem.

– To przekonajmy się, dobrze?

Zaczął znów poruszać się w niej i uświadomiła sobie, początkowo z zaskoczeniem, a zaraz potem z przyjemnością, że znów jest gotowy. Tak zresztą, jak i ona sama.

– Rzeczywiście hałaśliwa – zauważył Walenty z potępiającym parsknięciem.

– Prawda? – Eros mlasnął wargami. – Gdybyś tylko pozwolił mi popatrzeć...

– Im nie potrzeba widowni. Nie wyobrażam sobie, żeby te rzeczy zmieniły się bardzo w ciągu ostatnich szesnastu stuleci. Jestem pewien, że oni nie robili niczego takiego, czego przedtem już nie widziałeś.

– To nie znaczy, że nie chciałbym tego zobaczyć – odpalił Eros. – Kiedy ludzie stworzeni dla siebie kochają się pierwszy raz...

– Oni to robią już drugi raz – obwieścił Walenty. – A ona wyglądała na taką skromną panienkę. To ten twój wybranek tak ją zdemoralizował.

– Mam nadzieję. A nie mogę chociaż posłuchać?

– Nie. I na twoim miejscu nie byłbym taki pewny siebie. Słyszałeś, co

---

mówił Lockwood?

– Próbowałem. To ty przez cały czas mnie powstrzymujesz – powiedział Eros, bardzo dotknięty.

– Mówię o tym, co było, zanim wepchnąłeś ich do łóżka. On nie wierzy w miłość. On nawet nie wierzy, że mężczyzna i kobieta po akcie miłosnym mogą pozostać przyjaciółmi. Jeżeli nadal będzie tak utrzymywał, to zniszczy ich związek.

Eros przejechał ręką po swoich długich do ramion, kędzierzawych blond włosach.

– A czy ty nie powinieneś zadziałać właśnie tutaj? Wykazać mu, na czym polega jego błąd? Udowodnić, że prawdziwa miłość to nie tylko sprawa ciała, ale serca, umysłu i duszy.

– Nie myślałem, że kiedykolwiek usłyszę to od ciebie.

Eros pokazał mu język.

– Nie jestem głupi. Oni są sobą oczarowani. Shannon jest zakochana, a jemu udało się przełamać jej zahamowania, pomimo twoich wysiłków i zwichniętej kostki. On jeszcze tylko musi sobie uświadomić, że nie może bez niej żyć.

– Ale jak to sobie wyobrażasz? Zakład kończy się dziś o północy, nie ma zbyt wiele czasu.

– Gdybyś tylko pozwolił mi zerknąć... – powiedział Eros usiłując uśmiechnąć się ujmująco.

– Nie ma co patrzeć, teraz trzeba myśleć. Tym razem musi nam się udać. Nie obchodzi mnie, co podziała – twoje sposoby czy moje. Niech tylko podziała.

– Musi nam się udać – powtórzył za nim Eros. Ale jego słowa zabrzmiały bardziej jak modlitwa niż wyznanie wiary.

Sypialnię zalewało jasne światło wczesnego poranka. Shannon ostrożnie otworzyła oczy, nie będąc pewna, czy naprawdę tego chce. Czuli się obolała, lepka i zmęczona. Czuli się lepiej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Leżała w ramionach Patricka, jej ciało wciąż splecione było z jego ciałem. Ostatnią rzeczą na świecie, jakiej w tej chwili pragnęła, było obudzenie go. Teraz, kiedy tak spał wtulony w nią, należało do niej. Zważywszy na to wszystko, co jej przedtem powiedział, ten stan nie będzie trwał długo. Jak ona mogła to zrobić? Jak mogła zakochać się tak beznadziejnie w cynicznym, obcym mężczyźnie, który mówił, że nawet nie wierzy w miłość. Usiłowała wmówić sobie, że to było zaślepienie albo nawet kryzys związany z wiekiem. Ale tak nie było. Zdawała sobie sprawę, że w Patricku Lockwoodzie spotkała swoje przeznaczenie. I jeżeli on tego sobie nie uświadomi, to ona spędzi resztę życia samotnie i nieszczęśliwie. Nie żywiła żadnych złudzeń co do swojej porażającej piękności, nieodpartego wdzięku czy też błyskotliwości. Wiedziała, że jest po prostu zwykłą kobietą, której zdarzyło się zakochać w niewłaściwym mężczyźnie. Ale wie też, jak walczyć

o to, czego pragnie. I nie zrezygnuje bez zażartej bitwy. Nie chce żyć bez tego cynicznego ponuraka, jakim jest Patrick Lockwood. Nie ma zamiaru.

On na pewno śpi. Oddech i rytm serca ma tak regularne, równe. Ramionami obejmuje ją ciasno, a ręce ma zanurzone w jej włosach. Na pewno we śnie czuje, jak dobrze im razem. Co będzie, kiedy się obudzi? Nie była przygotowana na tę chwilę. Chociaż jasne światło słoneczne ogrzewało już sypialnię, chciała ukryć się przed nadchodzącym dniem. Leżąc nieruchomo przyglądała się szczegółom sypialni. Łóżko było stare i wysokie, stało na jasnej, sosnowej podłodze, przykrytej postrzępionymi, wyblakłymi, ciepłymi dywanami. Tapeta w kwiatowy wzór, okna złożone z wielu małych szybek, ciepłe koce, w które byli zawinięci – wszystko to było wspomnieniem dawnych czasów. Zapragnęła żyć właśnie wtedy, z Patrickiem. Mieszkać tutaj, malować swoje obrazy w czystym, jasnym świetle wyspy. Ale obawiała się, że do końca życia pozostanie w zadymionym, błotnistym Massachusetts. Sama.

Czekał do chwili, kiedy upewnił się, że znowu zasnęła. Nie miał pojęcia, która może być godzina – zapomniał nakręcić stary zegar na dole, a pozostałe, rzadko zresztą używane w tym domu zegary, były elektryczne. Słońce już stało wysoko i wiedział, że musi wstać i dołożyć do pieca, a potem zobaczyć, co da się zrobić, żeby nakłonić generator do pracy. Ale nie chciał mu się nigdzie iść. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zasnął w łóżku razem z kobietą. Nigdy nie chciał angażować się tak, by budzić się rano w obecności drugiego człowieka. Ale teraz chciał wstawać razem z Shannon. Chciał budzić ją pocałunkami, powoli, leniwie, chciał okrywać jej smukłe ciało swoim, zanim zdałaby sobie sprawę, co on robi. Chciał, żeby ten cholerny sztorm wciąż trwał, żeby unieruchomił ich na wyspie. Świejące słońce kpiło z tego pragnienia.

Wyślizgnął się z łóżka uważając, żeby jej nie obudzić, a ona ze stłumionym mruknięciem przewróciła się na brzuch. Nic dziwnego, że znów zasnęła, żadne z nich nie zaznało odpoczynku podczas tej długiej nocy. Skrzywił się opierając na zwichniętej nodze, ale ból okazał się zaskakująco mały. Widocznie nie nadwerżył jej sobie tak bardzo, jak na początku wyglądało. Albo też szaleńcze uprawianie seksu jest nie odkrytym jeszcze lekiem na zwichnięcia. Musiał pójść pod prysznic, napić się kawy i przypomnieć sobie, kim jest i w co wierzy. Ta noc była zakłóceniem, spowodowanym przez silny przypływ pożądania. To był fizyczny głód, który łatwo się zaspokaja. Byłby szalony, gdyby zaczął myśleć, że chciałby czegoś więcej.

Ale w takim razie chyba rzeczywiście jestem szalony, pomyślał później, gdy opierając się o kuchenny blat popijał świeżo zaparzoną kawę. Włączył już generator, rozpałił ogień, nastawił wszystkie zegary i zrobił kawę, a Śpiąca Królowa przez cały czas spała na górze. Co chwilę spoglądał w jaskrawobłękitne niebo czując nieśmiałą nadzieję, że może znów zerwie się burza, jak poprzedniego dnia. Wtedy też przyszła bez ostrzeżenia, niebo

---

miało ten sam nieskalany błękit. Ale czuł, że nie będzie miał tyle szczęścia, by przytrafiło mu się to po raz drugi. Z drugiej strony, obecność Shannon burzyła wszystko, nad czym pracował, wszystko w co wierzył. Kiedy patrzył w jej piękne oczy, zapominał, że miłość to tylko eufemizm, a „aż śmierć nas rozłączy” to żart. Kiedy na nią patrzył, zaczynał marzyć. A już myślał, że udało mu się wyeliminować ze swojego życia bezużyteczne marzenia.

– Czy dla mnie też jest trochę?

Od drzwi dobiegł matowy, nieśmiały głos. Zaskoczony spojrział w tamtą stronę i przez chwilę napawał się jej widokiem. Wzięła prysznic i wilgotne włosy lekko zwijały się wokół jej twarzy. Była ubrana w swój obszerny sweter i wyblakłe dżinsy, a stopy miała bose.

– Oczywiście.

Wyglądała tak cholernie słodko, a zarazem niepewnie, że chciał podejść do niej, chwycić w ramiona i scalać te wszystkie wątpliwości i strach z jej pięknych oczu. Ale przez ten czas, kiedy nalewał kawę, zdołał się opanować. Uważał, żeby jej nie dotknąć, kiedy podawał jej kubek, uważał, żeby oddalić się od niej bez widocznych oznak pośpiechu.

„Zostań ze mną”, chciał powiedzieć.

– Domyślam się, że musisz wrócić do pracy – wyszło z jego ust i zarazorientował się, jak źle to zabrzmiało.

– Tak – odparła, a z jej oczu zniknęło wyczekiwanie.

– Harold mówił, że jesteś artystką.

– Czasami – powiedziała, lekceważąco potrząsając głową. – Zwykle po prostu maluję.

– Co malujesz? – Chciał w jakiś sposób naprawić sytuację. Jeżeli ona ma odejść, a powinna to zrobić dla swojego, a także jego dobra, to niech chociaż rozstaną się w zgodzie.

– Ściany – odpowiedziała. – Współpracuję z małą firmą zajmującą się dekoratorstwem wewnątrz. A jak twoja kostka?

– O wiele lepiej. – O mało nie odwzajemnił jej grzeczności pytając, czy dobrze spała. To akurat wiedział lepiej od niej. „Zostań ze mną”, chciał powiedzieć. – Myślę, że Fred wkrótce się pojawi – odezwał się głośno.

– W takim razie muszę się przygotować – powiedziała szybko, odstawiając kubek i znów zostawiła go samego. Chciała, żeby tak było, powiedział sobie. Nawet jeżeli poprosiłbyś, żeby została, byłaby niemądra, gdyby się zgodziła. Tutaj nie było dla nich przyszłości i jeżeli ona tego nie widziała, to w każdym razie on tak. Nie miał zamiaru opuszczać wyspy. Jest odosobniona i piękna, bez piętna cywilizacji, ale zbyt odizolowana dla kogoś takiego jak ona. Nie, nie chciałaby zostać, oszczędził im obojgu bardzo krępującej sytuacji nie proponując jej tego. Zwłaszcza że nie był gotowy, by dzielić swą samotność z drugą osobą. Czy naprawdę? Jeżeli tak było, to dlaczego przyszłość jawiła mu się jako coś niezwykle ponurego? Popatrzył przez okno na przystań i dalej, na zielonoszare morze. Śnieg już roztopiał się w słońcu, a w oddali łódź Freda przedzierała się coraz bliżej i bliżej i



wtedy nieoczekiwanie zaklął, głośno i dobitnie.

– Co się stało?

Już była z powrotem i chociaż zapytała głosem jasnym i pogodnym, widać było, że ma zaczerwienione oczy.

– Nic. Fred przypląnął.

– O! – powiedziała tylko.

– Poszukam dla ciebie jakichś butów, żeby twoje nie przemokły ci w drodze do przystani. Fred pewnie ma coś do jedzenia albo lepiej poproszę go, żeby poczekał, aż coś zjesz.

– Nie potrzeba – odparła. – Nie jestem bardzo głodna.

– Jak chcesz – powiedział wzruszając ramionami. Tylko wyciągnę dla ciebie te buty...

– Nie trudź się – przerwała wkładając kurtkę.

Znalazła już swoje wciąż wilgotne adidasy i gdyby nie znał jej lepiej, przypuszczałby, że jest spokojna, w dobrej formie i chętnie odchodzi. Lecz nawet zważywszy na to, że był z nią krócej niż dwadzieścia cztery godziny, znał ją chyba lepiej od siebie samego. Wiedział, że łamie jej serce i gdzieś daleko zaświtała mu myśl, że przy okazji również łamie swoje. Chciał podejść do niej, ale nie mógł się poruszyć.

– Pójdę z tobą do przystani...

– Nie trudź się – powtórzyła. Ruszyła do drzwi, ale stanęła i odwróciła się, by popatrzeć na niego. – Będziesz żałował – odezwała się nagle.

– Żałował? Czego?

– Że pozwoliłeś mi odejść – powiedziała podchodząc zdecydowanym krokiem. – Patricku Lockwood, ja jestem najlepszą rzeczą, jaka ci się kiedykolwiek w życiu przytrafiła i jeżeli jesteś zbyt uparty i cyniczny, żeby to przyznać, to znaczy, że jesteś również głupcem.

Położyła mu ręce na ramionach, przyciągnęła jego twarz do siebie i pocałowała go w usta, a on poczuł słony smak jej łez. Odsunęła się, zanim zdążył ją objąć, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Wiesz, gdzie mnie znaleźć – dodała wkładając rękawiczki i mrugając, by powstrzymać łzy.

Wyszła na śnieżny poranek nie obejrawszy się więcej, a on przez chwilę stał bez ruchu. Przecież o to mu chodziło, tego właśnie chciał. Samotności, niezależnego życia. Nie było w nim miejsca dla takiego upartego rudzielca.

Przeszła już połowę drogi, kiedy wreszcie znalazł swoje buty. Wspięła się na łódź, kiedy on, ubrany w starą bluzę od dresu, popędził w dół wzgórza, pół kulejąc, pół biegnąc po śliskiej brei. Stała na dziobie i patrzyła, jak on w poślizgu zatrzymuje się na końcu pomostu.

– Nie wiem – powiedział.

– Czego nie wiesz?

– Nie wiem, gdzie cię znaleźć – wyjaśnił zirytowany.

– Możesz się dowiedzieć – odparła. Łódź kołysała się na wzburzonych falach, a Fred, zafascynowany, obserwował ich otwarcie, bez cienia wstydu.

---

– To znaczy, jeżeli cię to obchodzi. Ale ciebie nic nie obchodzi, prawda? Upprzedziłeś mnie o tym.

– Przecież nie słuchałaś.

– Słuchałam.

Wział głęboki oddech, walczyła w nim złość, frustracja i coś, czego nie mógł w pierwszej chwili rozpoznać, ale nagle zorientował się, że jest to uczucie niezbyt mu dotąd znane – nadzieja.

– Jestem dla ciebie za stary.

– Tak – powiedziała.

– Zwariujesz tutaj, bez żadnego towarzystwa.

– Tak.

– Złaż z tej choleralnej łodzi.

– Tak.

Skoczyła prosto w jego ramiona, a on złapał ją i trzymał ciasno przy sobie. Pocałował ją raz, drugi, dziesiąty, a ona oddawała mu pocałunki zapominając o zimnie, o Fredzie, o zdrowym rozsądku.

– Niech mnie kule biją, jeżeli to nie jest lepsze niż seriale w telewizji – oznajmił radośnie Fred.

– Bierzemy ślub – powiedział Patrick unosząc głowę. – Fred, czy będziesz moim druhną?

– Ślub, co? Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. Lepiej poczekaj na swoją siostrę. Ona wiedziała, że wpadniesz prędzej czy później – powiedział Fred chichocząc.

– Ja chcę mieć dzieci – ostrzegła Shannon, kiedy już mogła złapać oddech.

– Mnóstwo dzieci – zgodził się Patrick.

– I będę malować w środku te wszystkie łodzie, które naprawisz. Oczywiście, kiedy nie będę zajęta malowaniem zachodów słońca.

– Możesz malować wszystko, co tylko ci się żywnie podoba – powiedział przyciągając ją jeszcze bliżej siebie.

– Sądzę, że mam dla was prezent ślubny – obwieścił Fred sięgając do płóciennego worka i wyjmując z niego wyglądającą znajomo czerwoną, aksamitną torebkę. – To przybyło dziś rano, zanim wyruszyłem, żeby zabrać twoją narzeczoną.

– To moje – zawołała Shannon sięgając po przesyłkę.

– Nie – zaprzeczył Fred. – To zostało przysłane dla Lockwooda, razem z wiadomością. Może ona ma jakiś sens dla was, bo dla mnie nie. – Rzucił torebkę w ich stronę, a Patrick schwycił ją bez trudności.

– Co to za wiadomość?

– Od jakiegoś Harolda. Mówi, że on i Moira są znowu razem i nie będą więcej potrzebowali ciebie ani tego pudełka. Że teraz jest wasza kolej.

Patrick popatrzył w dół na Shannon.

– Wydaje mi się, że nam też nie jest potrzebny magiczny talizman – powiedział.

– Spójrz na to inaczej – odparła biorąc od niego torebkę. – Potrzeba nam

tyle szczęścia, ile tylko uda nam się dostać.

– Zupełnie jak w serialu – powtórzył Fred. – A to mi właśnie coś przypomniało.

– Co takiego? – spytał Patrick i nie czekając na odpowiedź znów zaczął całować Shannon.

– Wszystkiego najlepszego w Dniu Zakochanych.

– Gdyby nie ja, każde z nich poszłoby swoją drogą – powiedział Eros gorąco.

– Nie bądź śmieszny. Poszliby swoimi drogami pomimo tego całego lubieżnego seksu. To siła prawdziwej miłości, czystej, uświęconej, prawdziwej miłości spowodowała zmianę – odparł dobitnie Walenty.

– Seks.

– Miłość.

– No dobrze – ustąpił Eros. – Może to zwyciężyła rozsądna kombinacja obu tych rzeczy. Wygląda na to, że razem działają najlepiej.

– Nigdy nie spodziewałem się, że to przyznasz.

– Oczywiście, że przyznaję. – Eros uśmiechnął się słodko. – Zważywszy, że wygrałem zakład.

– Nie mów głupstw! O mało nie popsuleś wszystkiego!

– Wygrałem – powtórzył Eros. – Z twoją pomocą. Możemy zgodzić się, że tym razem był remis.

– Podglądacz – zagrzmiał święty Walenty.

– Świętoszek – odparował Eros.

– Przestań robić ze mnie durnia. Udajesz twardego, a cieszysz się równie mocno jak ja, że im się powiodło.

Święty Walenty spojrział w kierunku małej wysepki Barkhaven w stanie Maine i uśmiech rozjaśnił jego pomarszczoną, surową twarz.

– Myślisz, że odtąd będą żyli długo i szczęśliwie? – zapytał cieplejszym niż zwykle głosem.

– Z nami dwoma u boku? Jasne, że tak, staruszku. Oczywiście.

\*\*\*\*\*